



## I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICJI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielej Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Kamoens i Lusady. — Do mojej doli (wiersz). — Mąż Zuzanny. — Listy z Madrytu — Korespondencya ze Lwowa (dokoń.). — Korespondencya z Paryża.  
W dodatku: Krzyż w Mouguerre przez panią Klarę de Chandeneux przekład K. P.

## Kamoens i Lusady.

PRZEZ  
Sewerynę z Ż. D.

Portugalia obchodzi w tym roku uroczyste, trzechsetletnią rocznicę śmierci, wielkiego swego poety Kamoensa. Cały świat europejski łączy się z nią razem w uczczeniu tego wieszcza; należy on bowiem do tej małej liczby wybranych, których utwory wykarimiwszy świat ideałem piękna i dobra, zaszczytem są ludzkości całej.

Jubileusz Kamoensa, dał pobudkę erudycie francuzkiemu, p. Lamarre, do nowego przekładu Lusjad, jak niemniej do skreślenia nowego studium, nad życiem i pracami poety. Wielka epopea portugalska niejednokrotnie już tłómaczoną była we Francyi; filologowie francuzcy na wzór niemieckich, uważają za obowiązek ponawiać od czasu do czasu przekłady słynnych w świecie poetów, aby karmić niemi nowe pokolenia, w dostępny dla nich sposób.

Imię Kamoensa, tem sympatyczniejsze dla nas, że wieszczę portugalski żywo przypomina, piękną w dziejach literatury naszej postać Sebastjana Klonowicza. Obaj zrodzeni w jednymże stuleciu, z równą boleścią śledzili wzrokiem, pierwsze znamiona rozprzężenia swoich gmachów ojczystych, z tą różnicą że Klonowicz dał dowód większej przenikliwości, dalsze bowiem przewidywał niebezpieczeństwa i pod kwiecistą murawą, spostrzegał potworną gadzinę, jak mówi sam w *Victoria Deorum*:

Gdy wzrok obłądny braci mych ludzi,  
Kwietnym kobiercem, słodko się ludzi,  
Ja jeden widzę syczącą żmiję,  
Co z urąganiem wyciąga głowę  
Nad wonnych kwiatów spłoty różowe.

O baj poeci z równą odwagą wypowiedzieli walkę potężnym światu, obaj padli jednako ich ofiarą, obaj dokonali w szpitalu dni udręczonych: pod względem psychicznym żywot ich jednako się rozwija; całą różnicę stanowi tylko odmienny stek wypadków, na jakie popchnęły ich miejscowe uragany.

Kamoens urodził się w Lizbonie w r. 1525, na lat dwadzieścia przed Klonowiczem. Syn niezamożnych rodziców, pobierał nauki w Koimbrze, poczem wrócił do rodzinnego miasta, gdzie oddał się wyłącznie poezyi. Jak Petrarka opisywał on swoją Laure, lecz nie poważył się nigdy nazwać jej po imieniu; Dla współczesnych jednak imię to nie było tajemnicą. Ubogi młodzian przyptacił zuchwałą miłość wygnaniem z Lizbony, na wyraźny rozkaz królewski, spędził lat dwa w Santarem. Tam oddalony od ideału swego opisywał żal i tęsknotę, co raz to nową pieśnią. Wreszcie wziął się do poważniejszej pracy, omyślił plan Lusjad, nakreślił nawet początek poematu.

Król odwołał wyrok, ale niestety, powrót do Lizbony, stał się dla poety powodem nowych udręczeń. Ukochaną weszła w związki małżeńskie, odpowiednie do wysokiego jej rodu, niezgłębiona jej przepaść rozłączyła Kamoensa, z przedmiotem gorącej miłości.

Uniesiony rozpaczą, zaciąga się do służby woj-skowej, walczy w Afryce przeciwko Maurom, traci oko w bitwie pod Ceutą. Ze szramą na licu powraca do Lizbony, tu zamiast spodziewanego tryumfu, napotyka chłodną obojętność. Bez namysłu wsiada na okręt, odpływa do Indyi. Patrząc na brzegi znikające mu przed okiem, powtarza z dumą słowa Scypiona: „Niewdzięczna ojczyzno, nie będziesz miała gości moich!”

Odtąd rozpoczyna się pasmo najdziwniejszych przygód; zliczyć ich wszystkich nie podobna, po gwałtownych burzach morskich, około przylądku Dobrzej Nadziei, poeta przybywa na wyspę Goa. Na-

leży później do wyprawy przeciw korsarzom Arabskim, zapędza się za nimi aż na morze Czerwone. Pod żarem słońca równikowego, okrąża długo puste i krajowe wybrzeża. Za powrotem do Goa, patrzy z boleścią na szalony bezrząd, na rozprzężenie obyczajów, chłoszcze ostrą satyrą niekzemne rządy wicekróla Bunetho. Śmiałość tę przypłaca więzieniem, następnie wygnaniem na dalekie wyspy Moluki.

Tam odbiera wieść o skonie ukochanej, oplakuje ją najrzewniejszą pieśnią. W Goa tymczasem nowy wicekról objął rządy: powołał wygnańca do siebie. Kamoens pośpiesza, ale okręt na którym pły-nie, zaskoczony burzą, rozbija się na brzegach Cam-bodz. Biedny rozbitek chwyta za deskę, ile sił wal-czy z falą, przyciska do piersi skończony już rękopism Lusjad. W takim stanie Chińczycy podjęli go na brzegach Mecom.

Przybył wreszcie poeta do Indyi Portugalskich w 1561. Tu parę lat przebył spokojnie: „Był on z natury wesoły, mówi współczesny biograf, lubił żarty i krotchwile, godne rycerskiego męża, krótko jednakże trwał ten spokój. Ze zmianą wice króla, rozpoczęło się nowe prześladowanie. Oskarżony przed władzą, wtrącony do więzienia, Kamoens usprawiedliwił się wprawdzie, ale pobyt w Goa, nie-znośnym był mu odtąd; postanowił przenieść się do Mozambiku.

Tu nowe znalazł udręczenia, nowych napotkał prześladowców: wkrótce do takić przyszedł nędzy, że naraz brakło mu odzieży i chleba. Spotkał na-koniec liściowego kapitana okrętu, ten zabrał go na statek i dostawił szczęśliwie do Lizbony.

Smutny to był powrót, po szesnastu latach odda-lenia. Miasto świeżo dotknięte zarazą, utraciło przez rok jeden 70,000 ludności. Kraj szybkim krokiem dążył do zguby pod berłem na pół obłąka-nego Sebastjana. Przerażony Kamoens obrazem tylu klęsk, dodał do epopei kilka palących ustępów.



Wydrukował ją w roku 1572, nie polepszyło to bynajmniej losu poety. Jako wysłużony żołnierz, otrzymał on pensję wynoszącą sto franków rocznie. Przyszedł też niebawem do ostatniej nędzy. Sługa jego, Jawończyk Antonio, zebrał co wieczór na ulicach Lizbony; prosił o jałmużnę dla śpiewaka Luzjad. Sąsiadka Barbara, uboga przekupka, przyłożyła mu czasem jakąś resztkę ze swego stołu. Czasem ktoś zażądał od poety, jakiegoś czułego sonetu za talara, ale pióro wypadało mu z ręki nie mógł skreślić kilku wierszy za najem. W krótkce upadł na siłach. Śmierć pocziwego Antonia zadała mu cios ostatni.

Przeniesiono go do szpitalu. Dogorywał już, kiedy doszła do Lizbony wieść o klęsce króla Sebastjana, poległego w walce z Maurami. „Dzięki Bogu! zawołał poeta, i ja wnet zamknę oczy, drogą mi była ojczyzna, szczęśliwy też jestem że umieram na jej łonie, że umieram z nią razem.“ Jakoż skonał w parę miesięcy potem, w pięćdziesiątym piątym roku życia. Pochowano go w kościele Ś-tój Anny; żadna przecież ręka życzliwa nie uczciła go najskromniejszym pomnikiem. Nieszczęśliwy za życia i w grobie nawet nie miał znaleźć spokoju. W dwieście lat potem, podczas trzęsienia ziemi, gruzy zwalonego kościoła, przytłoczyły grób wielkiego poety; przez lat ośmdziesiąt nikt nie pomyślał aby wydobyć prochy Kamoensa z pod zwalisk. Nastąpiło to wreszcie w roku 1836, za staraniem ówczesnego poety, don Felicyano de Castilho: Portugalczycy uczcili pysznym pomnikiem narodowego wieszcza, któremu zawdzięczają tyle chwały.

Rzućmy teraz okiem na Lusyady, dziś niestety znane ledwie z tytułu Epopea cała głębokim nacechowana patryotyzmem. „Nie chcę ja, mówi poeta, opiewać chwały Ulyssesa ani Eneassa, Aleksandra ani Trajana. Milcz starożytna Muzo! przedmiotem pieśni mojej waleczne Luzytany! Nymfy Tagu! zapalcie w mój piersi iskrę nową; zbudźcie w niej nowy głos, grzmiący jak dźwięk bojowej trąby; dajcie mi geniusz godny bohaterskich czynów mego ludu.“

Po gorącej odezwie do młodego króla Sebastjana, w którego szerokich dziedzinach, promień słońca nigdy nie zachodzi, Kamoens rozpoczyna poemat. Flota Vasco de Gamy, sunie po falach oceanu, wiatr pomyślny trąca rozpięte żagle. Tymczasem bogowie mleczną drogą, śpieszą na olimpijskie wyżyny: tam czeka ich Jowisz na promienistym tronie, z dyamentowem berłem w ręku. Bogowie, boginie przybywają na radę otaczając podnoże gromowładcy.

Jowisz przedstawia bogom, zasługi Luzytanów, ich niezłomną wytrwałość i mozoły postanawia nagrodzić darem Indyi wschodnich. Tuż napotyka silny opór. Bachus pogromca Indusu trzyma w mocy kraj nad Gangezem; on praw swych nie ustąpi Luzytanom. Mars przeciwnie, sprzyja dzielnym ludom z nad Tagu; Wenus nie mniej upodobała ich sobie: widzi w nich synów stariej Romy. Nieśmiertelni spierają się zawzięcie, aż ziemia drży w posadach, przemógł na koniec Jowisz, śle Merkurego ku żeglarzom: on wskaże im zielony przylądek, gdzie odpoczną po trudach zanim puszcza się w dalszą drogę.

Pokonany Bachus nie składa jednak oręża, postanawia walczyć podstępem. Co żywo zbiega na ziemię; w postaci starego Maura, staje w Mozambiku w obec szejków arabskich, podżega ich przeciw chrześcianom, zbliżającym się właśnie do wybrzeży. Wre walka, Luzytanie górą: ale zawzięty Bachus wciąż zagradza im drogę. Pieśń pierwszą kończy poeta, żalosnym wykrzyknikiem boleści:

Na morzu odmet, wicher dmie wściekły,  
Z paszczą rozwartą krąży śmierć blada;

Na ziemi strugi krwi z żył pociekły,  
Wszędzie przewrotność, gwałty i zdrada.  
Na grzbiety nasze spadło klęsk tyle,  
W przyszłość jakimiż podążać szlaki?  
Jak krótką życia przebędziem chwilę,  
Pod kłatwą niebios ziemskie robaki?

W drugiej pieśni flota podąża ku Mombuzo. Vasco de Gama chce spocząć na tej wyspie, pewien że się znajdzie w pośród chrześcian. Niestety! wieść o fałszywa; panami wyspy nienawistni Maurowie. W pośród nich gości Bachus, podżega ich do zdrady. Aby zgubić przybyszów, Szeikowie przygotowali dla nich świetną ucztę: Vasco de Gama, rozkazuje flocie wpłynąć do portu; ale cóż to... okręta stoją murem, ludzka siła poruszyć ich nie może.

Coś zakipiało w ciemnej głębinie,  
Bieluchna piana wstęgą się toczy,  
W tem grono dziewic z głębi wypłynie,  
Łuna od złotych bije warkoczy,  
Srebrzyste skrzela pluszczą po fali,  
Różami kwitną dziewic oblicza,  
Stały nawy... nie pomkną dalej,  
Trzyma je w miejscu moc tajemnicza.

To Nereidy, Wenus życzliwa Luzytanom przywiodła tu ich orszak, sama zaś przez lazury pomknęła na wyżyny Olympu, błaga Jowisza o łaskę dla żeglarzy ściganych zemstą Bachusową. Prośba ich nie daremna. Merkury zbiega na ziemię, staje przed sennym Gamą. „Uciekaj zawoła, od tych strasznych wybrzeży; pływ ku Melindzie, tam król obsypie cię darami, ukaze ci drogę do Indyi!“

Wódz wyprawy pośpiesza za głosem tajemniczym, staje u brzegów Melindy. Wieść o Luzytanach dobiegła już do króla. Rad że pozna lud bohaterski, władca wyspy, pośpiesza na spotkanie. Gama hojnie ugoszczony, opowiada dzieje ziemi ojczystej. Nasamprzód kreśli obraz wszystkich europejskich ludów, zaczyna od północnej Skandynawii; na wschodnim brzegu morza Surmackiego, ukazuje siedziby Rusinów i Polaków, zwanych niegdyś Markomanami. Ztąd pomyka na greckie wybrzeża. W kilku słowach opiewa chwałę starożytniej Helady, a następnie Romy wszechwładnej pani świata. Z Italii przez Francją i Hiszpanią, dosięga wreszcie swojej drogiej kolebki. Zowie Luzytanią czubem głowy europejskiej, po za nią już nie... tylko fale oceanu, w których słońce zanurza się wieczorem.

Z dumą narodową, poeta w pieśni trzeciej, opowiada przez usta Gamy królowi Melinda dzieje drogiej mu Luzytanii, wiekowe jej zapasy z Maurami, wielkie ofiary, wielkie cnoty jej królów nie przemilcza i wielkich zbrodni. Do najdramatyczniejszych ustępów, należy skon Inezy de Castro, małżonki królewicza Piotra, synowej don Alonza.

Stawia przed królem Inezę Katy,  
Litość powstała w Alonza duszy,  
Lecz dworska tłuszcza, chce jej zatraty,  
Wola o pomstę, żąda katuszy.  
Stoi niewiasta jak liść drżąca,  
W oblicze śmierci spojrzeć niełatwo!  
Łza z pod jej powiek płynie gorąca,  
Płacze nad mężem, płacze nad dziatwą.

Piękne ku niebu podniosła oczy,  
Ach! oczy tylko rąk wzniesić nie może,  
Konopny powróż silnie je troczy,  
Potem na dziatki popatrzy hoże,  
Uśmiech jej usta ożywi słodki,  
I ochmurą z czoła na chwilę spada,  
Patrzy na swoje biedre sierotki,  
I tak zagadnie króla ich dziada.

„Widziano zwierza w kniei lesistój,  
Widziano orla na skały grzbiecie,

Jak cieniem pieczy swej macierzystej,  
Osieroczone słoniły dziecię.  
Tak było w pasmie wieków dalekiem,  
Gniazdo Ninusa światu wiadome,  
Sroga wilczyca karmiła mlekiem  
Braci co mieli zbudować Romę.

A ty o panie ludzkie masz serce,  
Naród twe imię wymawia z cześcią,  
Mamy cię nazwać ludzkim mordercą,  
Jeśli wytocysz dziś krew niewieściami!  
Gdy tem sierotkom matki nie stanie,  
O! niech śmierć moja gniew twój rozbroi!  
Ty ich niewinność uszanuj Panie,  
Otocz je skrzydłem opieki twojej!

„A jeśli królu ogniem i mieczem,  
Wyplaszasz Maury z ojców dziedzin,  
Zaliż w twem sercu nie drgnie człowieczom,  
Litość nade mną, gdy ja bez winy?  
W sytyjskie lody zagnaj mnie raczej,  
Wypędź na skwarne Libii pustynie,  
Tam dni dokonam w doli tułaczęj,  
Tam się mój żywot łzami rozplynie!

„Ani zgłodniałe tygrysów paszcze,  
Ni lwie pazury mnie nie przetrącają,  
Zbudzę w nich litość, gniew ich ugłaszczę,  
One niewinnej tknąć się nie wąż.  
Tam z dui ubiegłych tkanki spletań,  
Wysnują strzępkę niekiedy złotą,  
I niezgojone w mem sercu rany,  
Ukoją sierot słodką pieczęcią.“

Serce nie kamień! prośba je skruszy,  
Król słowo łaski niebawem rzecze,  
Stary Alonza przebaczył w duszy,  
Nagle w powietrzu zaszczykły miecze:  
„Śmierć! śmierć! śmierć!“ tłuszcza krzyknie szalona,  
Parta morderstwa i pomsty żądzą,  
Przed okiem króla, gwałt się dokona,  
Ofiara padnie! zmilkł don Alonzo!

Na bok odwrócił oczy z odrazą,  
Rumieńcem watydu czoło mu spłonie,  
A okrótnicy twarde żelazo,  
W alabastrowem utkwili łonie,  
I krew wytrysła, cieszy się piekło,  
Liczy z tryumfem ziemskie szkarady,  
O słońce! słońce! tyś nie powlekło  
Oblicza twego rąbkiem mgły bladej!

Jak polny kwiatek w dziewiczej dłoni,  
Różową główkę pochyla ścicha,  
Już nie wybuchnie kłębami woni,  
Wplecion do wianka rychło usycha,  
Tak z lic Inezy ubiegła krasa,  
Niby lilijka padła pod kosą,  
Ostatni życia promyk dogasa  
W oku zwilżonem łez świeżą rosą.

Płaczą umarłej dziewicy z Mondego,  
Na grób zbiegają wiosną i latem,  
Cichą mogiły troskliwie strzegą,  
Murawę krasnym opłotą kwiatem.  
I z pod jej powiek zbiegło łez tyle,  
Płaczą tak rzewnie, płaczą tak długo,  
Aż trysła rzeczka tuż przy mogile,  
Zwana od wieków miłości strugą.

W czwartej pieśni poeta podejmuje wątek wspólnych sobie dziejów: Vasco de Gama, opowiada królowi Melindu, co skłoniło króla Emanuela do przedsięwzięcia dalekiej wyprawy, której dowództwo mu powierzono. Już rodzic królewski Jan, poglądał pilnie w stronę z kąd słońce wschodzi, z roze-



słał był gonców za dalekie, nieznane morza, do źródeł Tygru i Eufratu. Żaden goniec nie wrócił. Berło wypadło z martwej prawicy Jana; podjął je Emanuel, a wraz z niem odziedziczył wielki zamiar ojcowski.

Na złotym tronie król odpoczywa,  
Sen mu rozpostarł skrzydła nad czołem,  
Ale rozpieszczone marzeń ogniwa  
Myśl w złoty łańcuch jednocy społem.  
Oko przyómione zwartą powieką,  
Lecz serce wiernie sprawuje czaty,  
A myśl wybiega w przestrzeń daleką,  
Za sine morza, w nieznane światy.

Uczul jak nagle wyrosł w olbrzyma,  
O strop niebieski opiera głowę,  
Z wyżyn niezmiernych objął oczyma  
Nowe krainy i ludy nowe.  
Tam gdzie się rodzą brzaski przedświtu,  
Dwie góry czoła skryły w obłoki,  
A po ich grzbiecie w łozach z granitu,  
Dwa kryształowe pędzą potoki.

I oto z łona wód wynurzają się dwa olbrzymy,  
dwaj starce, z licem ogorzałym, z białą długą do  
pasa brodą; obaj zwieńczeni w korony z traw i liści  
nieznanych.

Wielkim krokiem przystępują do króla. Jeden  
z nich Ganges, drugi Ingus, obaj zginają przed nim  
czoło. Pod berło Emanuela oddają ludy powierzo-  
ne ich straży.

Król budzi się, zrywa z łoża, powołuje Vasco de  
Gamę, mianuje go wodzem wyprawy, o jakiej świat  
dotąd nie słyszał. Wszystko gotowe już do drogi;  
różnobarwne flagi kołyszają się na wietrze. Każdy jedna  
się z Bogiem śmierć bowiem wiecznie furkocze skrzy-  
dły przed oczyma żeglarza. U stóp Betlejemskiej  
bazyliki, której wrzęby kąpią się w morzu, następu-  
je wreszcie pożegnanie. Osieroczone niewiasty, głu-  
chym zawodzą jękiem.

Żalonna matka co tchu przybieży,  
Ręce do syna wyciągnie obie:  
— „Tyś był podporą stariej macierzy,  
Przyjdź mi biednej płakać po tobie?  
Morskie cię fale schłona bez chyby,  
Lub cię słoneczna spali spiekota,  
Ciało twe zszarpia żarłoczne ryby,  
Co ja bez ciebie pożnę sierota?“

Żona w rozpacz włoś ciewny targa,  
Do męża tuli głowę zbolalą,  
Z ust jej żalonna wybieży skarga:  
— „Gdzie szczęście moje, gdzie się podziało?  
Słodko ja przedłmam dni wątek złoty,  
Przyszłość mi jasną błysła nadzieja,  
Bez ciebie drogi umrę z tęsknoty,  
Kwiat mego szczęścia wichry rozwieją!“

W pieśni piątej Vasco kreśli obraz przebytyj dro-  
gi; jaskrawemi barwy maluje naprzód maurytańskie  
miasta, ich pałace i minarety, odbite w falach ocea-  
nu; dalej lesistą Madagę, Hesperydę i wyspy szczę-  
śliwe, potem wybrzeża Congo, rojowiska czarnych  
jak noc Murzynów.

Opowiada wreszcie, świeże przygody z Maurami,  
ich zdrady i podstępny. Król Melindu bierze do ser-  
ca każde słowo, uniesiony podziwem dla bohater-  
skich Luzytanów, poprzysięga ich władzy wieczną  
miłość i zgodę. Następują wspaniałe uczty, ale  
czujny Vasco zna dzieje Anibala; wyspa Melinda  
nie będzie dlań Kapuą. Korzystając z pomyślnego  
wiatru, rozwija żagle, pośpiesza na wschód ku  
Indyom.

Podczas gdy Luzytanie uczują w pałacu gościn-  
nego króla, inna ucztą stokroć wspanialsza, odbywa  
się w głębinach oceanu, w pałacu Neptuna o krysz-

tałowych basztach, o złotych podwojach wysadza-  
nych perłami. Poeta opisuje te cuda z niesłycha-  
nem bogactwem wyobraźni. Tam w pośród ucztu-  
jących bogów i bogiń morskich, w sali buchającej  
wonią kadzideł, zjawia się nagle Bachus: błaga Ne-  
ptuna o pomoc przeciwko zuchwałym Luzytanom.  
Neptun przyrzeka wsparcie: wnet rozpręże z uwie-  
zi wichry i straszliwe cyklopy.

Powróciwszy z poetą na ziemię, noc rozpostarła  
gwiazdzisty płaszcz nad światem, wiatr pomyślny  
popycha żagle; flota mknie hyżo po falach. Brzask  
zaświtał, a oto rozlega się przeraźliwy pogwizd ster-  
nika, majtkowie spieszą na hasło, zwijają żagle,  
przytwierdzają drabiny. Czarna chmura wybiega  
z po za widnokręgu, rozpościera szeroko skrzydła,  
z czterech stron świata zarzyczą na raz cztery wi-  
chry, Alcyon z Borcasum, Auster z Akwilonem ście-  
rają się jak rozszalałe buhaje, jeden drugiemu nie  
ustąpi. Fale piętrzą się coraz wyżej, szamoczą  
okrętami, to podrzucą je pod obłoki, to strąca  
w otchłanie oceanu. Chmura zakrywa całe niebo,  
błyskawice migoczą niby ogniste węże, piorun ude-  
rza za piorunem. Vasco de Gama nie rozpacza, nie  
traci głowy, gromadzi rycerstwo, upada na kolana,  
zasyła modlitwę ku Przedwiecznemu. I burza zwi-  
ja skrzydła, wichry milkną, słońce wybiega z po za  
chmur, brzegi Indyi błysły przed oczyma żegla-  
rzy.

W siódmej pieśni poeta wymienia różne plemiona  
rozsiadłe na przestrzeni między Indusem a Gan-  
gesem: ukazuje Bengalczyków, zawołanych oraczy;  
inne ludy karmiące się tylko wonią kwiatów, Kam-  
bodów zaprawnych do oręża; Narzyngów bogatych  
w złoto, lecz ubogich w rycerskie cnoty. Jednym  
rzutem pióra, określa te ludy, znać że je widział  
że umiał na nie patrzeć. Opisuje wreszcie brzegi  
Malabaru i stołeczne miasto Kalkutę, jej świątynie  
i potworne bożyszcza, pałac zniewieściałego władcy.  
Vasco de Gama, odwiedza króla, wyprowadza mi-  
nistrów na brzeg morski, ukazuje im wspaniałą flotę  
przystrojoną w barwiste flagi. Szczegółowy opis  
tych chorągwi malowanych w godła i sceny histo-  
ryczne, żywo nam przypomina *Proporzec* pruski  
Jana Kochanowskiego z którego poeta wysnuwa ca-  
łe dzieje krzyżackiego zakonu, od czasów krucyat,  
do chwili kiedy książę Albert, schyla ów proporzec  
na znak hołdu, u nóg ostatniego z Jagellonów.

Dwie pieśni poświęca Kamoens, na opis tych li-  
cznych chorągwi, byłoby ich więcej, dodaje w końcu  
ale malarzom zabrakło farb i pędzli, na oddanie bo-  
haterskich dzieł praocjów naszych. Świetny ten  
popis, naraził flotę na wielkie niebezpieczeństwo.  
Król Malabaru przerażony potęgą Luzytanów pod-  
żeganych we śnie przez Bachusa, postanawia wyciąć  
ich do nogi, powołuje już wojsko. Przezorny Ga-  
ma, odpływa potajemnie, jak niegdyś Noe do arki,  
tak on zabiera na okręta próbki flory i fauny nad-  
gangeskiej, wywozi niemniej do Lizbony kilku bo-  
gatych kupców z Malabaru.

Na pełnym oceanie, miła niespodzianka czeka lu-  
zytańskich żeglarzy. Przychylna im Wenus, zwo-  
łuje wszystkie Nereidy otaczające tron Neptuna;  
gromadzi legiony amorków, pociąga okręta na roz-  
koszną wyspę miłości.

Całą dziewiątą pieśń poeta poświęca tem czaro-  
dziejstwu. Obrazy jego pełne wdzięku, w jednym  
maluje wnętrze kuźni, grupy amatorów krzątają się,  
kują łuki i strzały, z pieców wybucha ogień, podsya-  
sany w miejsce łuczywa, drgającymi sercami, za-  
miast wody do hartowania strzał, kipią w kotłach  
żły nie szczęśliwych kochanków.

Pomijamy inne obrazy: cała ta mythologiczna  
fantasmagorya, dziś tak zużyta, miała w szesnast-  
nym wieku świeży urok nowości. Chcąc sądzić da-

wnych mistrzów, musimy przenieść się myślą w ich  
epokę, patrzeć na nich oczyma współczesnych, a nie  
mierzyć ich miarą dzisiejszych pojęć.

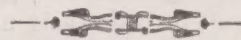
Najniesłuszniej według nas, jeden z nowych kry-  
tyków, powątpiewa o prawdziwie uczuć Jana Kocha-  
nowskiego, czemu? oto że w *Trenach* na śmierć Ur-  
szulki, wspomina nieprzebraną Persephonę! Na  
takie zarzuty odpowiada bogini Thetis w poemacie  
Kamoensa, ukazując niebo Vasco de Gamie. „Tam  
ręce mieszka Bóg, źródło wiekuiste życia i prawdy  
my krążym w świecie zmyślenia dla użytku poe-  
tów.“ Jeżeli dzisiejsi wieszczowie, omijają z pogar-  
dą ów świat zmyśleń, inaczej było w szesnastym wie-  
ku. Przebaczymy więc Janowi z Czarnolasu, że oto-  
czony inną od naszej atmosferą wspomniął imię bo-  
gini dziś ośmieszone, które w jego czasie było  
prostym symbolem śmierci.

W dziesiątej a ostatniej pieśni, Syrena przepo-  
wiada Luzytanom przyszłe ich tryumfy w Indyach.  
Pełni otuchy opuszczają rozkoszną wyspę, wiatr po-  
myślny popycha okręta ku ojczystem wybrzeżom.  
Odezwa do króla i dostojników koronnych zakończy  
Kamoens nieśmiertelny swój poemat. Z całym po-  
szanowaniem, rzuca on w oczy wielkim światu, zba-  
wienne ale gorzkie prawdy. W tym to ostatnim  
wstępie, żywo przypomina Klonowicza, obaj poeci  
drogo przypłacili swą śmiałość.

Według świadectwa współczesnych, wielka epo-  
pea żywo poruszyła umysły, sądzymy jednak że Por-  
tugalczycy, odczuli dopiero w pełni wartość poema-  
tu, kiedy twórca jego położył głowę w grobie, ina-  
czej byłoby mogli patrzeć obojętnie, na głód i nę-  
dź wieszczą narodowego. Klęski kraju zresztą,  
mogły chwilowo odwrócić uwagę od arcydzieła.  
W rok po śmierci Kamoensa w r. 1580, Portugalia  
straciła niepodległość: Filip II-gi podbił ją i przyłą-  
czył do Hiszpanii.

Francuzki tłumacz Luzyad p. Lamarre, poprzedza  
poemat zarysem historycznym, wyświeśla w nim  
wielki udział Portugalczyków w sprawie cywilizacji  
powszechnej; opisuje ich żeglugi i odkrycia, wśród  
których wyprawa Vasco de Gamie, unieśmiertelniona  
pieśnią Kamoensa, najwspanialszym świeci blaskiem.  
Żywemi barwy maluje autor bohaterski charakter  
tego ludu; przytoczymy tu rys jeden. Jan de Castro,  
wice król Indyi, pragnął odbudować fortecę Diu lecz  
zbrakło mu pieniędzy. Piszę więc do zarządu por-  
tugalskiego na wyspie Goa prosząc go o pożyczkę po-  
syła w zakład swoje wasy. „Kazałem, mówi on, od-  
grzebać zwłoki mego syna, zabitego przez Maurów;  
chciałem posłać wam kości jego, jako bezpieczną  
rękojmnię, lecz w stanie w jakim są wydobywać ich  
z ziemi niepodobna. Diego Rodriguez de Azavedo  
złożył wam wasy moje. Nie posiadam nic jak wie-  
cie, ani dóbr ziemskich, ani kosztowności na któ-  
rych mógłbym ubezpieczyć pożyczkę, całym bogac-  
twem mojem szczerość, którą otrzymałem w darze  
od Boga.“

Bohaterstwo Portugalczyków, nie zdołało uchro-  
nić ich od zguby, ale co w danej chwili pozwoliło  
im odzyskać straconą niepodległość.



## Do Mojej doli.

PRZEZ

Tomasza Olizarowskiego.



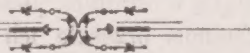
Uśmiechy twoje dziwne moja dolo,  
Z pamięcią moją niekiedy swawolą,



Mila swawola zacząć bywa tylko  
Marną igraszką a przelotną chwilą,  
Zacóż od westchnień, które sama budzi,  
Pierzcha jak dzika ptaszyna od ludzi?

Tak podróżnemu w pustyni, wśród głuszy,  
Dziwnym sposobem, nie tym co ma w duszy  
Pamięć człowiecza odezwa się dzwony,  
Milem domowej przypomnieniem strony,  
I tak w snu dziwach nieraz ujrzy człowiek  
O czym nie myślał przed smrużeniem powiek.

Ale co ujrzy, co tam ujrzy dusza,  
W tym śnie bezjutrznym który się nie rusza?  
I co posłyszysz ach! co tam posłyszysz  
W tej nigdy niczem nie przerwaną ciszy,  
Rychło tam ze mną słodko poswawolą  
Uśmierz twoje dziwna moja dolo!



## Mąż Zuzanny.

NOWELLA

przez Jerzego Vautiér.

(Dalszy ciąg).

### IV.

Dziś rano otrzymałem twój list, datowany w Rennes. Jakże surowy w nim jesteś. Opowiadasz mi, że przed wyjazdem z Paryża widziałeś się z Felicyanem i że użalał się przed tobą na mnie, napomykając przytem o pewnych podejrzeniach jakie żywić mam przeciw jego osobie. Ty się też gniewałeś i korzystając ze sposobności, palnąłeś sężniste kazanie na temat przyjaźni. Dobry z ciebie kaznodzieja, ale za bardzo pochopny do potępienia. Wysłuchaj i osądź.

Po powrocie naszym z Włoch, Felicyan przyjechał na kilka dni do Sauves, zachwycając się każdym dzieckiem jakie przypadek nasunie mu przed oczy. Po raz setny powtarzam mu: „Żeń się!” a on po setny raz odpowiada mi: „Zapóźno! minęła już dla mnie stosowna pora...” Mówił mi dalej, że będąc dostatecznie mającym, aby potrzebował oglądać się za klientelą, poświęcił się wyłącznie badaniu chorób dzieciennych, a tym sposobem zapewnił sobie możność ciągłego przebywania wśród ukochanego przez siebie małego świata nie zdziwił mnie też pospieszny przyjazd jego, skoro dowiedział się o przyjeździe na świat mojego syna. Miał nadzieję że będzie do chrztu trzymać, ale już zaprosiliśmy na ojca chrzestnego jednego z wujów mojej żony; dowiedziawszy się o tem odjechał w prawdziwej rozpacz. Za przybyciem naszym do Paryża, zjawił się znowu i ofiarował się czuwać nad zdrowiem Piotrusia, który miał się jak można najlepiej.

Zezwoliłem na to ze śmiechem. Od owiej chwili stał się codziennym gościem u nas, co wielce bawiło Zuzannę i panią de Haintenois, nie mogąc dosyć nadziwić się gorliwości starego kawalera w odgrywaniu roli ojca; ja sam z początku, nie miałem nic przeciwko temu i myślałem sobie: To już takie dziwactwo jego.

Pewnego dnia, szczególna myśl przeszła mi przez głowę! odepchnięta wracała znowu. Opierałem się jej, chciałem walczyć; wszystko napróżno; to co w pierwszej chwili uważałem za rzecz zwykłą, zaczęło mnie dziwić i niepokoić. Nie miałem odwagi zdradzić moich podejrzeń, sam przed sobą wyzna-

ich nie chciałem, przyjmowałem wszakże Felicyana ozięble z twarzą pochmurną, w nadziei że może sam się domysli; nie rozumiał mnie jednak, czy też nie chciał zrozumieć. Nareszcie w zeszłym tygodniu, gdy odchodząc zapowiedział że powróci nazajutrz, zdecydowałem się nagle i rzekłem do niego, nie bez zająknięcia wszakże:

— Po co masz jutro przychodzić? przecież Piotrusi zdrowi jest.

Spojrzał na mnie zdziwiony. Odwróciłem oczy aby nie wyczytać wyrzutu w tem spojrzeniu.

— Co mam przez to rozumieć? Czy uważasz że wizyty moje są zbyt częste?

Tyle prawości przebijało się w jego wzruszeniu, że uczułem szaloną żądzę uściskania go; ale w tej chwili doleciał mnie głos Zuzanny z salonu a więc i też nie było potrzeba aby odżyły moje podejrzenia. Nie wiem co odpowiedziałem Felicyanowi. Starałem się mu wytłumaczyć, że żona moja jest za młoda i za piękna, aby poufałość taka mogła trwać dłużej, bez narażenia jej na złośliwe języki ludzkie. Płatałem się i nie mogłem wybrnąć, Felicyan słuchał mnie z całą uwagą.

— Chcę wiedzieć wszystko, przemówił kiedym skończył, czy ci kto o tem wspominał?

— Nikt.

— A więc ty sam podejrzewasz mnie?

— Nie mam żadnych podejrzeń, kłamałem, i nie w ten sposób przemawiałbym gdybym miał być urażony jakąś do ciebie, ale obowiązkiem jest moim chronić żonę od pocisków obmowy.

Wzruszył tylko ramionami i odszedł; widziałem dobrze że odpowiedź moja nie wydała mu się szczerą i wstyd mi się zrobiło przed samym sobą. Nazajutrz nie przyszedł i nie pokazał się już więcej.

Kilka dni następnych przebyłem w ciągłej niepewności; to winażowałem sobie że się zdobyłem na taki krok stanowczy, to znów czyniąc sobie gwałtowne wyrzuty. List twój, szczerze ci wyznam, wzruszył mnie głęboko ale i skłonił zarazem do ponownego rozmyślenia. Zapewne nie przypuszczam aby Felicyan zdolnym był do zdrady, obliczonej z góry, ale z własnego wiem doświadczenia, jakie następstwa wynikają z podobnego zbliżenia się i czego obawiać się można. Robisz mi wyrzuty że nie zaufałam jego przyjaźni i na potępienie moje to jedno tylko znajdujesz: „Przyjaciół od lat dwudziestu.”

Przyjacieł! zapomniawszy więc, że i ja byłem przyjacielem męża Joanny, że przyjaźń nasza datowała się od lat dziecięcych?

Wytłumacz to, jeśli możesz i odpowiedz mi, jeśli zdobędziesz się na tyle odwagi.

### V.

Napróżno szukałem w długiej twojej reprimendzie oczekiwanej odpowiedzi. Mówisz mój kochany, jak kawaler, ale my, żonaci, zupełnie inaczej zapatrujemy się na te sprawy. Pytasz się, czego mi braknie do szczęścia? Niczego mi nie brak, mam wszystko co zapewnić może prawdziwe szczęście; wyrzucam sobie jednak moją przeszłość, lękam się abym nie został za nią ukarany.

Mając lat dwadzieścia pięć, będąc zakochanym, usprawiedliwia się człowiek siłą namiętności, przykładem innych, licznymi pokusami napotykanymi na każdym prawie kroku; o przyszłości nie myśli się; zakochać się w cudzej żonie, zyskać jej wzajemność wydaje się wówczas rzeczą najzwyczajniejszą w świecie. Później dopiero, ożeniwszy się, siedząc pomiędzy własną żoną i dzieckiem, kiedy się już poznało całą potęgę uroczą małżeństwa przekony-

wamy się, myśląc o przeszłości, jak nieszlachetnem było nasze postępowanie.

Pierwszy raz przyszło mi to na myśl w Sauves, po powrocie naszym z Florencji i czułem się tak szczęśliwym iż ogrom tego szczęścia przerażał mnie; pomyślałem, że nadejdzie może dzień w którym zmuszony będę stanąć w jego obronie przeciw nikczemnym zamachom jakiego romansowego próżniaka, co w braku innego zajęcia, zechce lekkomyślnie zakłócić mi je z bezwstydną zarozumiałością. Odtąd złowieszczą myśl ta, nie daje mi chwili spokoju. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, rozumiesz mnie, prawdziwe wyrzuty smnienia. Doznaję ich gdy sam zostawszy mężem i ojcem, zacząłem napawać się rozkoszami, jakich dawniej pozbawiałem innych nie mając pojęcia o ohydzie wyrządzonej im krzywdy. Ach gdyby młodość wiedziała! Dziś tak dalece poczuwam wielkość mojej winy, iż strach mnie przejmuje na samo wspomnienie o zasłużonej karze. Oceń moje położenie i powiedz że przesadzam. Broń się ile mogę przeciw napastującym mnie myślom wszystko co ty mi mówisz powtórzyłem już sobie ze sto razy. Zuzanna nie jest kokietką, zacne i uczciwe ma serce, kocha mnie szczerze czegoż miałbym się obawiać. Przed chwilą właśnie, z twoim listem w ręku, zadawałem sobie głośno pytania jakimi chciałeś mnie uspokoić:

— Jesteś przecież dobrym mężem dla twojej żony?

— To prawda, jestem nim, ale przekłeta pamięć moja, dodaje natychmiast:

— Mąż Joanny również był dobrym dla swej żony?

— Nie jesteś pewnym miłości Zuzanny?

— Jestem przekonany że mnie kocha, ale i Joanna kochała swego męża.

— Dla czegożby twoja żona miała przekładać pierwszego lepszego nad ciebie? Jesteś brzydki, głupi, niezdolny?

— Zapewne że nie, ale dlaczego Joanna przełożyła mnie nad swego męża, który sto razy więcej był wart ode mnie, co sam przyznać muszę?

Utrzymujesz że nie masz żadnego usprawiedliwionego powodu do obaw; podzielam i ja w zupełności twoje zdanie, ale w tenżeas tylko, gdy przypadkiem uda mi się zapomnieć na chwilę o przeszłości, a tem samem bez uprzedzeń ocenić położenie. Lecz dajmy już temu pokój. Papier się już kończy i zostaje mi zaledwie tyle miejsca aby napisać ci że przedwczoraj spotkałem Felicyana. Podeszedłem ku niemu i uściśnięm go za rękę; byłem tak zmieszany, że nie wiedziałem iż odgadł znaczenie tego uścisku. Czy jesteś zadowolony ze mnie? Pomimo to jednak nie był jeszcze u nas, czem mnie wielce zobowiązał. Śmiejesz się? ale cóż robić, nie spodziewałem się przecież wyleczyć mnie od razu?

### VI.

Cały miesiąc niczem nie zakłóconego spokoju, prawda że czynię postępy? Sądziłem że ów dawny ja, zmarł już we mnie; niestety, ostatnimi dniami zbudził się na nowo. Długą historją mam ci do opowiedzenia; chciałem zostać moim spowiednikiem sam sobie więc przypisz winę jeżeli cię nudzę.

Zeszłego czwartku wychodząc z ministerstwa sprawiedliwości, gdzie byłem w interesie jednego z moich krewnych, spostrzegłem na placu Vendôme Felicyana. Było to około godziny trzeciej po południu; o tej porze właśnie Zuzanna wyprowadza codziennie Piotrusia na świeże powietrze do ogrodu tuileryjskiego. Felicyan szedł szybkim krokiem w kierunku ulicy Castiglione. Jakieś niezwalczone uczucie ciekawości, skłoniło mnie że poszedłem za



nim, przybywszy do ogrodu uszedł kilka kroków główną aleją, następnie spojrzął na zegarek i rzucił się na lewo, bacznie rozglądając się wśród mnóstwa dzieci, bawiących się w tej części ogrodu. Widocznie szukał kogoś i był pewnym że go znajdzie a może nawet zwykł się z nim schodzić w tem miejscu. Naraz widzę że schyla się, bierze jednego chłopczyka na ręce i całuje go; był to Piotruś. Skryłem się za drzewo jak złoczyńca czatujący na swoją ofiarę. O dwadzieścia kroków ode mnie Felicyan pieścił się z moim synem, który skakał mu na rękach i chichotał głośno. Piastunka siedząca dotychczas na ławce wstała i podeszła ku nim. Ale gdzie była Zuzanna? Napróżno szukałem jej oczyma i nie widząc nigdzie ucieszyłem się w pierwszej chwili: chłodne przecież zastanowienie szeptało mi jedno: czeka na nią bezwątpienia, ona niebawem nadejdzie. W dręczącym oczekiwaniu, nie spuszczałem z oka Felicyana; wyciągnął z kieszeni پاکچیک z łakociami i uraczył nimi Piotrusia a pobawiwszy się z nim jeszcze jakiś czas, posadził go na ławce a sam oddalił się pośpiesznie w kierunku głównej alei, oglądając się kilkakrotnie za dzieckiem które różowymi swemi paluszkami przesyłało mu pożegnalne całusy. W tej chwili spostrzegłem że piastunki spoglądają na mnie, podejrzliwie, szepecząc coś między sobą: zrozumiałem śmieszność mego położenia i odszedłem w przeciwną stronę.

Chodziłem długo bez celu, nie mogąc uspokoić opanowującego mnie wzruszenia. W gruncie rzeczy to co widziałem przed chwilą, nie miało w sobie nic zatrważającego; znając zwłaszcza dziwactwo Felicyana, trudno było gułować się na niego że przyszła mu ochota uściskać mego syna. Niektóre jednakże szczegóły tej sceny nasuwały mi podejrzenia, że powtarza się ona codziennie. Zuzanna tymczasem nigdy mi o tem nie wspominała; istniała więc pomiędzy nią a Felicyanem wspólna tajemnica, o której ja nie wiedziałem. A oprócz tego gdzie ona się znajdowała, czemu nie była przy Piotrusiu?

Nazajutrz żona moja, o zwykłej godzinie wybrała się z dzieckiem do Tuilerów. W kilka chwil później poszedłem wślad za niemi, chcąc się przekonać, czy Felicyan przyjdzie znowu, i czy Zuzanna oddali się tak samo jak wczoraj. Kiedy jednak ujrzałem już wierzchołki olbrzymich kasztanów, wstyd mnie ogarnął i wróciłem do domu. Około godziny piątej wróciła i Zuzanna; z największym spokojem, na jaki zdobyć się mogłem, zapytałem ją:

- Byłaś z Piotrusiem w ogrodzie?
- Rozumie się.
- Nie oddalałaś się wcale od niego?
- Załatwiłam tylko kilka sprawunków w okolicy.

A więc codziennie odchodziła o tej samej godzinie. Niestety, aż nadto wiem dobrze, jaki wyborny pretekst mają kobiety w załatwianiu drobnych sprawunków domowych, wyłączną pieczę których tak zęcznie przy sobie zatrzymały.

Następnego dnia obudziłem się więcej niż kiedykolwiek niespokojny. Żeby raz już położyć koniec moim udręczeniom, postanowiłem nie krępować się żadnemi względami delikatności i użyć wszelkich możebnych środków dla wykrycia prawdy. Wyszedłem z domu wcześniej pod pozorem licznych interesów na mieście. O godzinie trzeciej byłem w Tui-broch. Niezadługo ujrzałem nadchodzącą Zuzannę. Skryłem się po za klomby. Ona usiadła na ławce, a w pół godziny, zostawiając dziecko z piastunką, wstała i skierowała się ku ulicy Ryvoli. Pośpieszyłem w tę stronę ale szła tak prędko że zaledwie zdołałem podążyć za nią. Na ulicy Richelien, zmuszony trzymać się w pewnej odległości, a oba-

wiając się aby znów w tłumie tym wśród natłoku powozów i omnibusów nie stracić jej z oczu, z trudnością przeciskałem się pomiędzy licznymi przechodniami, trącając jednych deptając drugich po nogach złorzeczenia i grubiaństwa sypały się na mnie ze wszelkich stron, zbyt jednak byłem zajęty abym mógł zważać na podobne drobnostki. Na rogu ulicy Montpensier żona moja stanęła na chwilę jakby wahając się; nie chcąc żeby mnie spostrzegła, schowała, wałem się pośpiesznie za kolumnadę teatru. Nagle stanąłem jak wryty z przerażenia, naprzeciwko Zuzanny tym samym trotuarem szedł Goutran. Krew uderzyła mi do głowy, w piersiach tchu zabrakło, z okiem wlepionem w tego człowieka, oparłem się o ścianę... Już tylko o kilka kroków był od Zuzanny... Przeszedł koło niej, zdjął kapelusz powitał ją z uszanowaniem, ona skłoniła głowę i rozeszli się każde w inną stronę. Na ten widok doznałem w pierwszej chwili wielkiej ulgi, ale niebawem dręczące opanowały mnie myśli, może to tylko udana obojętność, aby mnie w pole wyprowadzić? Dobrze przecież byłem ukryty, widzieć mnie nie mogli. W miejscowości tej kiedy Goutran znikł mi już z oczu pobiegłem dalej za żoną, zdążyłem jeszcze na czas, żeby ujrzyć ją znikającą w ubramie jednego z domów przy ulicy Newe-des-Petits-Champs. Z głupią miną zostałem na środku ulicy przyglądając się domowi jakbym wzrokiem chciał przebić mury jego; na pierwszym piętrze mieścił się magazyn mód, drugie zajmował szmuklerz. Co to począć? Czy wejść i badać odzwierzętego, czy też czekać i niczego się nie dowiedzieć? Z zamyślenia mego wywołała mnie ciężka ręka spadająca mi na ramię, a jednocześnie z głośnym śmiechem, zabrzmiało mi w uszach:

— Złapałem cię szkaradny zazdrośniku.

Był to mąż Joanny. On, w takiej chwili. Zanim zdołałem zebrać myśli, wziął mnie pod rękę i pociągnął za sobą.

— A ja nie chciałem wierzyć Goutranowi, mówił dalej, gdy mnie zapewniał że jesteś zazdrośny kłóto widział żeby szpiegować własną żonę.

Chciałem zaprzeczać, odparł mi żywo:

— Idę za tobą od kwadransa. Wszystko widziałem.

— To jeszcze nie dowód że...

— Powiadam ci że wszystko widziałem. Nie masz słuszności, mąż nie powinien tak postępować. Czy ja śledzę Joannę? Nie, ufam jej, i wiem że nie byłaby zdolną..

Zadrzałem. On spojrzął na mnie. Nie wiem jaki mógł być wyraz mojej twarzy, ale spotkanie to, te zwierzenia przy podobnych okolicznościach, nabrały charakteru tak śmiesznego i bolesnego zarazem, że uczułem się głęboko wzruszonym. Nie odgadł przyczyny mego wzruszenia i ciągnął dalej:

— Uważałem jakies zmienić się nagle gdy Goutran przechodził koło twej żony. Przyjacieli! I ty mogłeś podejrzewać przyjaciela.

Tego było już za wiele; schyliłem głowę, nie byłem w stanie ukryć mego pomieszanego.

— Bledniejesz i czerwieniejesz na przemian, jesteś w gorączce. Otóż zaspokoje cię jednym słowem. Twoja żona jest u modniarki, znam dobrze ten dom; Joanna nie wychodzi prawie z niego, całemi dniami tu przesiaduje. Nasze panie przy swoich gałgankach o wszystkim zapominają.

Znowu głośno i szczerze się zaśmiał; spoglądałem na niego ze zdumieniem, czy żałować go, czy zazdrościć mu wypadało? Wiedziałem bowiem, gdzie Joanna przez całe dwa lata spędzała popołudniowe godziny, udając że zajmuje się gałgangami. Przypomniałem sobie, że często wspominała mi o jakimś magazynie mód, przez który przechodziła tylko dla odwrócenia podejrzeń. I to do tego samego domu

weszła moja żona... Wyrwałem gwałtownie rękę i porzuciłem pana de Verceil.

— Wracasz na swoje stanowisko? zawołał, nie, nie uczynisz tego, wszak prawda?... Byłoby to bardzo źle z twojej strony.

Odpowiedziałem mu kiwnięciem głowy które nie stanowczego nie wyrażało. Zdaleka jeszcze dolatywał mnie śmiech jego. Szydził sobie ze mnie, zazdrość moja wydawała mu się niedorzeczną...

(d. n.)

## LISTY Z MADRYTU.

### V.

Smutne, jałowe i piaszczyste są okolice Madrytu: zwiedzając je mimowolnie przychodzi na myśl co skłoniło monarchów hiszpańskich aby będąc panami kraju bogatego w tak zachwycające miejscowości i krajobrazy, właśnie Madryt obrać za stolicę. Dopiero w pewnej odległości pojawiają się piękne widoki i malownicze położenia i tam wzniesiono rezydencje królewskie, jak Aranzues (Aranjuez) z pałacem otoczonym przesłicznymi ogrodami i cienistymi gajami, a znacznie dalej Grania, słynąca z pysznych, nadzwyczaj wysoko tryskających fontan i najcudniejszych ogrodów, rozciągających się wśród poważnej przyrody i skał wiecznym pokrytych śniegiem na koniec Escorial (Eskurial) i Pardo, leżące o jedenaście kilometrów od Madrytu, do którego prowadzi piękny i doskonale utrzymany trakt bity.

Dawno, bardzo dawno temu, kto chciał zwiedzić Escorial, musiał uzyskać pozwolenie królewskie, upoważnienie pierwszego ministra, oraz polecenie nuncjusza do przeora i zarazem rządcy pałacu. Hiszpanie uważają go za ósmy cud świata. Dziś nie potrzeba tak wysokich i niełatwych pozwoleń i rekomendacji, a kto pragnie poznać ulubioną rezydencję Filipa II-go, w półtorej godziny dowiezie go tam kolę żelazna i może rozpatrywać się we wszystkich jej pięknościach.

Escorial jest to duża wieś licząca parę tysięcy ludności, dzieli się na część wyższą i niższą, zaś starodawny klasztor nosi nazwę *San-Lorenzo*. Ani sama miejscowość ani okolice nie odznaczają się malowniczością ale samo obejrzenie klasztoru, wynagrodziłoby najdłuższą podróż. Jest to najokazalszy z pomników hiszpańskich; styl jego wspaniały i posępny zarazem, odbija w sobie charakter królewskiego swego fundatora.

Gmach ten zaczęto wznosić w r. 1563 na pamiątkę zwycięstwa nad wojskami francuzkiemi, odniesionego w Saint-Quentin d. 10 sierpnia 1557 r. Było to w dzień Ś. Wawrzyńca; to też dla uczczenia Świętego męczennika, król żądał aby plan powierzchni gmachu sporządzony był w kształcie kraty. Dziwaczny pomysł który nie zaraz odgadnąć można. Gmach wzniesiony jest z żółtego granitu, od rozpoczęcia do ukończenia go upłynęło lat dwadzieścia dwa.

Główna fasada zwrócona jest na wielki plac; mieszkańcy utrzymują iż w tem miejscu tak gwałtowne zrywają się wiatry, że unoszą w powietrze najcięższe obciążone wozy: wszyscy to powtarzają, nie zdarżyło mi się jednak spotkać takiego, coby to widział własnymi oczami. Musi jednak być w tem coś prawdy gdyż urządzone są podziemne chodniki, które-mi, omijając plac, mieszkańcy mogą w dnie gwałtownych burz przychodzić do kościoła. Fasadę zdobi figura Ś. Wawrzyńca, cztery metry wysoka; w pra-



wę ręce trzyma brązową połączoną kratę. (Wiadomo że Ś. Wawrzyniec umęczony był na rozpalonej kracie.)

Kościół wznosi się w głębi królewskiego dziedzińca. Wszedłszy do niego najpierw zwraca uwagę sklepienie wznoszące się po nad chórem. Jest ono prawie zupełnie płaskie; dziś nie jest to już tajemnicą dla sztuki architektonicznej, wówczas uchodziło za coś cudownego. Opowiadają iż dla uspokojenia króla, architekt musiał wesprzeć je na kilku filarach, które później dopiero obalili. Dokoła chóru biegają dwa rzędy ławek rżniętych prześlicznie z kosztownego drzewa, a w rogu na lewo, pokazują stałą w której przez długie lata Filip II zasiadał podczas nabożeństwa. Ztąd małe drzwiczki prowadzą do mieszkania królewskiego, składającego się z dwóch alków bez okien, z których wchodzi się do podłużnego pokoju ze ścianami pobielonemi wapnem, istniejącej celki zakonnej, posępną i ponurą. Krzesło, fotel i dwa taborety w kształcie X, jeden dla sekretarza Antonio Perez, drugi, na którym monarcha kładł chorą nogę, krwią jego splamiony, oto jedyne meble mieszczące się w tym królewskim apartamencie. Przechowano je dotąd jak najstaranniej. Tu, modląc się w swą stali, Filip odebrał wiadomość o zwycięstwie pod Lepantem, które powstrzymało rozwój islamu. Po za ławkami kryje się mała kapliczka, w której wznosi się cudnie piękna postać Chrystusa z białego marmuru, arcydzieło Benvenuto Cellini.

W samym klasztorze podziwiać trzeba cztery wspaniałe galerie z arkadowym sklepieniem i wspaniałe schody o trzech przestankach i przepyszną balustradą; ściany zdobią freski Łukasza Giordano, przedstawiające bitwę pod Saint-Quentin i fundacyę Escorialu.

Drogocenna i bogata w nader rzadkie dzieła i rękopisma biblioteka, o mało nie stała się pastwą płomieni w 1872 roku. Nie pomyślano o zabezpieczeniu gmachu gromochronami i raz piorun uderzył w bibliotekę. Dzięki ratunkowi i poświęceniu pocciwych wieśniaków, zdołano wyrzucić na wielki plac wszystkie książki i rękopisma i tym sposobem uratowano je od zagłady. Wszyscy wiedzieli jak nieocenione skarby mieściły się w bibliotece, jak łatwo i drogo sprządać je można, a jednak ani jeden z nich nie zginął w tem zamieszaniu. W bibliotece tej widzieć można dzieła sztuki które bajeczne kosztowały summy, jak między innymi książka do nabożeństwa Karola V, ewangelje odbite złotem literami, wielką biblię kardynała Cisneros i przeszło 3,000 nieznanych po większej części rękopismów hebrajskich, greckich, arabskich i łacińskich.

Pod kościołem mieści się Panteon, groby królów i infantów. Wchodzi się do niego po wspaniałych sklepionych schodach, z drogocennego różnobarwnego marmuru, kolumny zdobią złoczone brzozy. Groby w których składają na wieczny spoczynek martwe zwłoki monarchów, poprzedza przedsionek, czyli salon, w którym stawiają trumnę dopóki nie zostanie ukończony grób w jakim spocząć ma zmarły. Pieczara grobowa jest to jakby salon ośmiokątny, którego ściany pokryte są porfirem i marmurem. W sześciu z tych ścian umieszczone są cztery rzędy jakby katakomb, w które po odpowiedniemu przyozdobieniu ustawiają trumny zmarłych monarchów. Wszystkich jest dwadzieścia-sześć, z tych jeszcze dość jest próżnych, któż dziś potrafi odpowiedzieć czy będzie jeszcze w Hiszpanii tytuł królów aby je zapełniły ich zwłoki.

Przed kilku laty otworzono grób Karola V, czas uszanował śmiertelną powłokę wielkiego cesarza; ciało zachowało kształty i rysy nieśmiertelnione penzlem Ticiana. Druga, nie tak bogata sala,

przeznaczona jest dla królowych zmarłych bezpotomnie i dla infantów. Quintana i Nunez de Arce natchnionym wierszem opisali dzieje i śmierć spoczywających w Escorialu, potęgą swego talentu zmarłych wracając do życia.

Opuszczając te groby w których przepych i zbytek światowy otaczają jeszcze szczątki marności ludzkiej, powróciłem do kościoła.

W wielkiej kaplicy (capilla mayor) mieści się wielki ołtarz, oratoria i pomniki królów, wszystkie z drogocennych różnobarwnych marmurów. Wielki ołtarz zdobią posągi i wysoko cenione malowidła. Z pomiędzy pomników królewskich wyróżniają się dwie grupy posągów, brązowych, połączanych, w postawie klęczącej, większych niż naturalna wysokość: jest to dzieło włoskiego artysty, Binpes Leoni. Grupę z lewej strony składają: Karol V, żona jego Izabella i trzy córki. Prawa grupa przedstawia Filipa II, trzy jego żony, Marię, Izabellę i Annę, oraz syna jego don Karlosa, bohatera tytułu dramatów. Prócz tego w kościele tym znajdują się dwie piękne ambony, dwa wspaniałe ołtarze malowane przez Eibadi'ego Volosquez, wielki obraz Klaudiusza Coello zastępujący sanatorium (santa forma) i relikwie wielu świętych.

Po za Escorial'em wznoszą się wysokie góry oddzielające od siebie obie Kastyllie, są one nagie i posępne, wcale niepociągające pięknym widokiem. Urządzono w nich wielkie zbiorniki wody, która przeprowadzona do wodociągów, zasila blisko sto fontan, porozmieszczanych w pałacu i w ogrodach.

Pardo leży w przeciwną stronę Madrytu, jest to rendez-vous myśliwych, którzy z uniesieniem wyrażają się o tej miejscowości. Ogromny las dębowy otoczony jest dokoła (ma kilka mil obwodu) grubym i wysokim murem. W dzień Ś. Ildefonsa lud tłumem dąży do Pardo, aby zgodnie ze starodawną tradycją obchodzić tam święto błogosławionego arcybiskupa z Toledo i zabawić się zbieraniem żółędzi w lesie koronnym.

Manzaneres przepływa przez całą posiadłość Pardo; lecz wybrzeża jej niczem się nie odznaczają, ale za to rzeczka ta nigdy wylewami żadnych szkód nie zrzadza, gdyż wody w niej tak mało jakby tylko był to zbiornik też jakimi biedaczka oplakuje swoje ubóstwo.

Pardo zaleca się niezmiernymi lasami i mnóstwem zwierzyny; mieszkańcy miasteczka niczem się nie odznaczają, to też cudzoziemcy przybywają tu jedynie dla zwiedzenia pałacu i domu schronienia żebraków, rezydencji monarchów i przybytku nędzarzy, który miłosierdzie utworzyło dla poparcia pracy i poprawy obyczajów.

Pałac królewski jest to wielki czworokątny gmach, z trzema fasadami w poważnym stylu, ozdobiony wieżami i otoczony głęboką fossą. Przedstawia się z powierzchowności jak ponura i odpychająca rezydencja z czasów feudalnych. Za Karola IV w pałacu tym miały zbierać się liczne zgromadzenia, lecz następnie monarchowie tak opuścili tę rezydencję, że zaledwie można w niej spędzić kilka tygodni. Znajdują się tu korpusy z dość dobrym rozkładem pokoi, ale zastawionych bardzo zniszczonymi meblami, których odnowienie kosztowałoby daleko więcej niż nowe umeblowanie, a bardzo mało jest zalecanych się jakąś artystyczną wartością. Ale pałac ten zawiera prawdziwe skarby nieobliczonej wartości, o których należałoby lepsze mieć staranie i strzedz od wilgoci i zmian powietrza, a temi są przepyszne obicia i kobierce wyrobione według rysunków Goya lub kopii Dawida Teniers'a, przedstawiające polowania, sceny sielskie, opizody z *Don Quichotte'a* i t. p. Obicia te i kobierce, których tak

wiele jest w tym pałacu, pochodzą z królewskiej fabryki, założonej przez Filipa V, i mogą współzawodniczyć z najpiękniejszymi francuzkiemi gobelinami. Dowodzi to jak wysoko sztuka ta stała w Hiszpanii, w drugiej połowie XVIII wieku.

(d. n.)



## Korespondencja ze Lwowa.

—\*—\*—

(Dokończenie).

Wkrótce po targu zbożowym odbył się we Lwowie wiec (miting) szewski, na który zjechali się majstrowie z różnych stron kraju, aby zastanowić się nad sposobami podźwignięcia upadającego coraz więcej przemysłu szewskiego. Zjazd był nadzwyczaj liczny, z czego wnosić można, że rzeczywiście tej gałęzi przemysłu grozi niebezpieczeństwo z powodu coraz natarczywszej konkurencji towaru, sprowadzanego z zagranicy, głównie z Wiednia, nie tylko szewcy lecz i inne kategorie przemysłowców zagrożone są przez tę konkurencję Wiednia: który co trzeba otwarcie przyznać, zrobił od ostatniej wystawy powszechnej olbrzymi postęp i nie tylko na wschód lecz także już i na zachód rozciąga swoje konkurencje. Przyzwyczajaliśmy się uważać oddawna wyroby gotowe za produkt tandetny, na który nie warto pieniędzy wyrzucać, tymczasem rzecz się ma dziś inaczej, bo te sprowadzane wyroby są zawsze o wiele tańsze od krajowych a często prześcigają ostatnie nie tylko lepszym wykończeniem lecz nawet woborem materiału. W ostatnich czasach wydział krajowy rozpisując oferty na różne sposoby potrzebne do wewnętrznego urządzenia nowego gmachu sejmowego miał szczyry zamiar uwzględnienia przemysłu krajowego. O szczerości niemożna było powątpiewać, bo Sejm i wydział krajowy wiele zrobiły w ostatnich czasach z własnej inicjatywy dla podniesienia przemysłu krajowego. Tymczasem pokazało się, że niektórych rzeczy nie można zamawiać we Lwowie, bo wiedeńscy przemysłowcy ofiarowali je po niższej cenie i w nierównie lepszym gatunku. Gdzie tylko różnica wyrobu co do ceny, gatunku lub wykończenia nie była zbyt rażąca, tam wydział krajowy nie wahał się nawet ponieść ofiary, aby tylko dać zarobek krajowym przemysłowcom. Mimo to jednak w gmachu sejmowym będzie wiele rzeczy sprowadzanych z poza Galicji. Na to nie ma innego środka jak tylko polepszenie warunków produkcji i wydoskonalenia wyrobów; samo narzekanie nie nie pomaga bo na tem polu konkurencja nie da się zwalczyć tą bronią. Szewcy nasi wybrali zatem bardzo dobrą drogę i doznali zasłużonego poparcia. Wydział krajowy poparł ich subwencją a prezydent miasta sam przewodniczył zjazdowi i zachęcał do wytrwania w rozpoczętej pracy. Wiec szewski powziął uchwały praktyczne, kładąc nacisk na tworzenie spółek i korporacji, oraz na potrzeby wydoskonalenia przemysłu. Po zniesieniu cechów arcyliberalna ustawa przemysłowa, zbyt łatwym uczyniła przystęp do tej gałęzi przemysłu ludziom, którzy nie posiadają potrzebnego wykształcenia i wskutek tego partactwem psują reputację krajowych wyrobów. W tym kierunku reforma jest niezbędną i wiec wskazał, w jaki sposób ją osiągnąć można. Wskazano także inne środki, które mogą podnieść przemysł szewski z upadku. Na razie tworzenie stowarzyszeń dla handlu skór jest najpilniejszym zadaniem. Następnie starać się należy o wyzyskanie wszelkich spo-



sobności do zbytu towarów w znacznych zapasach np. przy dostawie obuwia dla wojska. Galicyjskie obuwie mogłoby także zdobyć sobie nowe rozległe pole zbytu na wschodzie, w pierwszym rzędzie w Rumunii. Wskazawszy środki ratunku wiec postanowił w końcu, że ma być utrzymywany we Lwowie osobny organ dla spraw przemysłu szewskiego, którego zadaniem będzie wspieranie wszelkich usiłowań około podniesienia upadającego przemysłu. Pierwszy numer tego pisma już się pojawił. Oby i nasze pochwały wieca tak rychło w czyn się zmieniły.

Na zasadzie własnej pomocy oparł się wiec szewski i w każdym razie osiągnął tę przynajmniej korzyść, że zwrócił uwagę na stopniowe ubożenie jednej klasy rzemieślniczej. I to już wiele znaczy, bo teraz zainteresują się sprawą koła wpływowe a prztem troskliwe o dobro kraju na każdym polu. Na tej samej zasadzie oparło się tutejsze towarzystwo posługaczy publicznych, zwołując zgromadzenie robotników celem rozszerzenia swojego zakresu w taki sposób, aby mogło otworzyć źródło stałego zarobku wszystkim wyrobnikom gotowym do zarobkowania a nie posiadającym do tego sposobności. Kiedy dziś w innych krajach robotnik, któremu sposobność do pracy sama się nie nastęrcza i nie szuka jej lecz myśli o wywrocie porządku społecznego, o nowym podziale dóbr i t. d. u nas klasa robotników zdobyła się na krok świadczący pięknie o jej dobrych zamiarach i zdrowych instynktach. Jest to jeden z wybitniejszych dowodów, że w społeczeństwie naszym socjalizm nie ma gruntu pod nogami, że może być tylko sztucznie zaszczipiony, jeżeliby napływowym żywiołom pozwolono podburzać spokojne umysły i bałamucić je szalonymi mrzonkami. Przy zwykłej czujności społeczeństwa i bez żadnych nadzwyczajnych wysiłków, importowany z zagranicy socjalizm nie zrobi u nas żadnego postępu. Myśl towarzystwa posługaczy zasługuje na wszelkie poparcie i niezawodnie znajdzie je na każdym kroku skoro tylko przez inicjatorów ujęta zostanie w formę praktycznego statutu. Dziennikarstwo już dało dowód, że poparcia swojego nie odmówi tej sprawie.

Oprócz dwóch niższych zakładów szkolnych przybyło miastu naszemu z początkiem bieżącego roku szkolnego nowe, czwarte już z rzędu gimnazjum, o które długo i usilnie Lwów i kraj się upominał. Że żądanie było uzasadnione stosunkami, świadczą przepełnione klasy nowego gimnazjum, chociaż w trzech innych nie zmniejszyła się liczba uczniów. Język wykładowy w nowym gimnazjum jest polski. Po wysłuchaniu jednego życzenia kraju i miasta, mamy nadzieję, że wskutek korzystnej zmiany stosunków w Wiedniu, ziści się i drugie, równie pilne, może nawet pilniejsze. Chodzi tu o otwarcie wydziału medycznego przy uniwersytecie lwowskim. Corocznie w sejmie i radzie państwa w Wiedniu posłowie nasi wykazują datami statystycznymi, że stosunek śmiertelności w Galicyi jest przerażający a jeden wydział medyczny w Krakowie nie może w żaden sposób dostarczyć dostatecznej liczby lekarzy sześciomilionowemu krajowi. Obecny rząd zdaje się być skłonny do zaprowadzenia wydziału medycznego we Lwowie. Mówią także że Galicya a mianowicie Lwów odniesie niebawem jeszcze jedną ważną korzyść z pożądaną zmianą stosunków w Wiedniu. Rząd ma się skłaniać także do życzenia delegacji naszej, aby generalne dyrekcyje galicyjskich kolei żelaznych przenieść swoją siedzibę z Wiednia do Lwowa. Jest to anomalia, żeby centralny zarząd kolei znajdował się w mieście o kilkadziesiąt mil odległym a nie w stolicy kraju. Wiedeń wiele zyskiwał na tym przywi-

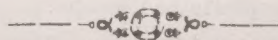
leju, bo skupiał w sobie wiele znacznych interesów kosztem kraju. Dla Lwowa taka zmiana byłaby nadzwyczajnem dobrodziejstwem a kraj odniósłby tę ważną korzyść, że doczekałby się wreszcie zaprowadzenia języka polskiego w zarządach kolejowych. Za jedną zmianą bowiem poszłaby druga: bo obie są uzasadnione. Skoro język polski stał się urzędowym i szkolnym w całym kraju, więc zaprowadzony być powinien także na kolejach żelaznych.

Ze świeżo wydanych książek zwraca na siebie uwagę różnaitością treści i rozmiarami, album młodzieży akademickiej wydane z powodu literackiego jubileuszu J. I. Kraszewskiego i poświęcone Jubilatowi. Na tę sporą książkę złożyły się prace nie tylko słuchaczy lwowskiej wszechnicy lecz także artykuły akademików polskich w Krakowie i zagranicznych zakładów naukowych. Myśl wydania albumu z pracami młodzieży akademickiej powstawała i upadała już kilka razy. Odkąd powstała czytelnia akademicka skupiająca w sobie całą inteligentniejszą młodzież uniwersytetu i techniki myślano o takiej książce, ale odstępowano od zamiaru dla znacznych kosztów i trudności redakcyjnych a może nawet i z tego powodu, że ostatecznie po długich naradach uznawano za rzecz rażącą, aby ci, którzy się jeszcze sami kształcić powinni, narzucali się już publiczności próżnami literackimi. Akademik, któremu niepospolita zdolność i niezwykły zasób wiedzy pozwalają wcześniej rozpocząć karierę literacką lub naukową, znajdzie zawsze pisma otwarte dla autorów początkujących i nie potrzebuje czekać na album specjalnie takim pracom poświęcone. Ci zaś, którzy piszą dlatego, że w dwudziestym roku życia chwytają się chętnie za pióro nawet w braku zdolności literackiej i powołania, dla dogodzenia próżności lub fantazyi młodzieńczej, nie zasługują na to, aby wydawano dla nich album. Takie zdania przeważały w latach 1867—1869, gdy stowarzyszenie akademików formalnie uchwalało wydać album i wybrało nawet komisję redakcyjną, ale później cofnęło swoją uchwałę. Jeżeli dziś dawny ten pomysł przyszedł do skutku, to przypuścić to należy nadzwyczajnemu wypadkowi, jubileuszowi Kraszewskiego. Jako upominek jubileuszowy dla wielkiego pisarza, album liczyć może na pobłażliwość krytyki, której co do niektórych artykułów bardzo a bardzo potrzebuje. Szczególnie pobłażliwą być musi krytyka dla jednego artykułu o rolnictwie polskim, w którym autor całe ustępy wyjął z dzieł Szajnoch. W takiej książce najsłabszy utwór nie razi tak bardzo jak plagiat. Wszakże są to prace początkujących autorów a cóż powiedzieć o przyszłości młodego autora, który w ten sposób rozpoczyna zawód literacki. Album nie weszło jeszcze do księgarni, gdy w jednym z dzienników skonstatowano ten fakt z wnioskiem, aby artykuł został wyrzucony. Śnać niemożliwem już było zastosowanie się do tej życzliwej rady, bo w albumie znajduje się ten nieszczęśliwy artykuł. Pobłażliwą być musi krytyka także dla poezyi t. j. oryginalnych, bo tłumaczenia mają niezaprzeczoną wartość. Co do tych poezyi można powiedzieć, że lepiej było nie umieszczać ich wcale, bo nie widać w nich „orleji potęgi młodości.“ Gdyby nie było poezyi oryginalnych w albumie, możnaby się było łudzić przynajmniej przypuszczeniem, że pewne skrupuły nie pozwoliły ogłosić płodów muzy akademickiej, że jednak jałowy realizm nie ośwładnął młodych umysłów. Po ogłoszeniu słabych warunków niknie ta illuzya. Najlepszym jest dział historyczny, co stanowi zasługę tutejszego profesora historii dr. Ksawerego Liskego, któremu słuchacze wiele zawdzięczają. Komitet redakcyjny w przedmowie składa podzięko-

wanie wszystkim, którzy zajęli się ocenieniem artykułów przed ich wydrukowaniem a szczególnie profesorowi dr. Liskemu. Album akademickie nie jest pierwszym dopiero dowodem skutecznej działalności naukowej prof. dr. Liskego między młodzieżą akademicką. Już kilku jego uczniów dało się poznać zaszczytnie pracami sumiennymi wystudyowanymi i samodzielnie napisanymi. Każdy z nich pewnie przyzna, że wiele zawdzięcza umiejętnemu kierownictwu prof. Liskego.

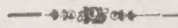
W chwili, gdy to pisze, nadeszła do Lwowa telegraficzna wiadomość z Krakowa, że nasz genialny artysta Henryk-Siemiradzki podczas uczty daną na cześć Kraszewskiego przez literatów i dziennikarzy warszawskich, ofiarował krajowi swoje arcydzieło Pochodnie Nerona z tem zastrzeżeniem, że ma ono zdobić dużą salę w odrestaurowanych Sukiennicach. Jest to dar królewski i słusznie nazwano Siemiradzkiego w Krakowie, największym w tej chwili magnatem polskim. Kraków wyprawił za to Siemiradzkemu szereg owacyi. Przykłaśnie im cały kraj jako obecny właściciel arcydzieła, które odbyło pochód tryumfalny po całej Europie i sławą okryło nie tylko autora lecz w ogóle sztukę polską. Fakt ten zaimponuje światu, bo Siemiradzki jak wiadomo nie jest zamożny i tysiącami dla fantazyi rozrzucac nie może a dla rozgłosu tego uczynić nie potrzebował, bo zdobył już sobie sławę europejską arcydziełami. Najsłachetniejsze motywa skłoniły naszego artystę do tego kroku i dlatego wspaniały dar jego budzi nie tylko radość lecz i dumę w naszym społeczeństwie, jako wypadek nie mający nigdzie równego sobie, trudny do naśladowania chociaż tak godny tego. Arcydziełami zjednał sobie Siemiradzki sławę w całej Europie, a darem dzisiejszym wdzięczność niewygasałą całego społeczeństwa naszego. Dla skromnego a tak genialnego artysty naszego ta druga zdobycz będzie pewnie cenniejszą!

B. E.



## KORESPONDENCA Z PARYŻA.

### O UBIORACH.



Paryż zaludnił się nareszcie po długim opustoszeniu letniem. Mówimy tu naturalnie o tej części mieszkańców której obowiązki nie przykuwają bądź co bądź do bruku paryżkiego. Owe podróże letnie stały się dziś konieczną potrzebą, arystokracja rozjeżdża się po wiejskich swych rezydencyach, świat przemysłowy błyszczy w Boulogne, Trouville i innych stacyach nadmorskich; mniej zamożni nawet wynoszą się w jakiś cichy zakątek wiejski, jedni aby odetchnąć zdrowem powietrzem, inni aby zadość uczynić modzie. Zwyczaj ten przejęli Francuzi od Anglików, którzy hołdują mu niewolniczo. Anglik któryby nie opuścił Londynu w ciągu lata, uważałby to za hańbę i upośledzenie. Dziwy też rozpowiadają o tej podróży rodzin angielskich. Niektóre z nich pozbawione zasobów na kosztowne wycieczki najmują parę pokoi na dalekiem przedmieściu, zamykają się w nich najszczelniej, puściwszy wieść o podróży w Alpy lub Pireneje. Dla młodych zwłaszcza *Gentlemenów*, wyjazd na polowanie do jakiegoś zamku arystokratycznego jest sprawą niemal honorową; który z nich nie otrzymał zaprosin, gotów poniżyć się do kłamstwa. Opuszcza więc dom na parę tygodni, chowa się w jakimś zakątku wreszcie przywdziewa ubiór myśliwski, idzie do tak zwanego *Splashing house*, gdzie za trzy szylingi, otrzymuje szczególną kąpiel.



Przedsiębiorcy właściciele tego zakładu, eksploatają zrecznie próżność młodych paniczów. Sprowadzają oni ziemię z różnych stron kraju, bądź gliniastą, bądź wapienną lub torfowatą, przez domieszanie wody tworzą z niej błoto właściwe tej albo owej okolicy. Mniemany myśliwiec, siada na mechanicznego konia, ten nakręcony wierzga nogami półty, aż go należą obryzga błotem. Zaklapany po uszy elegant spieszy na Picadilly, wita przyjaciół, opowiada dziwy o łowach, w których miał zaszczyt uczestniczyć.

Niewidzieliśmy wprawdzie *Skleping-hauzu* na własne oczy, ale wieść o nim chodzi od dawna po Paryżu. Jeżeli dom ten w rzeczy samej istnieje to wyznać musimy, że Francuzi pomawiani o blagerya, dali się o wiele wyprzedzić swym zamorskim sąsiadom.

Modny świat jak mówiliśmy powrócił do Paryża. Na polach elizejskich pojawiają się z każdym dniem nowe okrywki i kapelusze. Wielkie magazyny rozpoczęły wystawy zimowych towarów. Wśród tych uderzają wzrok różnobarwne tkaniny wschodnie w guście perskim, tureckim, indyjskim i japońskim, przeznaczone do ozdoby sukien i kostiumów, nazwy tych tkanin rozmaite: *Renares*, *Kaszmyr*, *Kabul*, *Jeddo* i t. d. wszystkie odznaczają się dziwną mieszaniną barw i odcieni. Ta moda powszechnie dziś panująca, potrwać długo nie może; obok kosztownych bowiem wyrobów, pojawiają się już tanie naśladownictwa, które ją w krótkie rozpowszechnią i do zbytku przesycą nią oczy.

Na zimowe kostiumy widzimy też gładkie sukienka i wigonie, korciki i repsy w drobne podłużne prążki. Do najmodniejszych kolorów należą: ciemno oliwkowy, myrtowy, śliwkowy, loutre czyli wydrowy, *tête de negre* (głowy murzyna), *pain brûlé*, (chleba spalonego), *mousse* (przemrożonego mchu), wreszcie kolor czarny, który w słotne dni zimowe zapanuje niewątpliwie nad innymi.

Wielką nowość w tym roku, stanowi też kolor fioletkowy, zarzucony zupełnie od lat kilku, ten używany szczególnie na wyłogi do ciemnych sukien i palototów,

W ogólnej formie sukien ta uderza różnica, że tak zwane *paniers* czyli rogówki rozdęte po bokach znikają coraz bardziej, i ustępują miejsca małym turniurkom, odsadzającym lekko baskinę od stanika. Kostiumy na ulicę, a nawet na mniej ceremonialne wizyty, przyjęte w ogólności krótkie, sięgające ledwie do ziemi.

Najmodniejszy kostium składa się po prostu ze spódniczki z zaprasowanym wolantem przybraną z przodu plisami lub draperią, i z długiego kaftana, przystającego do figury, z połami rozwartymi. Strojnieszkie kostiumy wizytowe przybierają wyciskany aksamitem, albo wschodnim wyrobem *Drap de Levant*, w którym w pośród różnych kolorów przebiega nitka złota, srebrna albo stalowa.

Okrywki jesienne w ogólności mają formę wizyttek, rozmiary ich tylko znacznie powiększone. Uważaliśmy między innymi, piękną okrywkę *Visite Imperatrice*, z materii czarnej *Sicilienne*, ciepło podwatowaną. Zdobiała ją w koło bogata frendzla z karbowanego jedwabiu. Wielka peleryna tworzyła kwadratowy rękaw, naszyty pasmanterią. Wzdłuż pleców szła także piękna pasmanterya, zakończona u dołu dwoma wielkimi kwastami. Szeroka frendzla u szyi, zastępowała kołnierza.

Inna okrywka *Visite Coligny*, z materii jedwabnej w drobny groszek (armure de soie), w miejsce frendzli obłożona była skonskami. z takimże kołnier-

zem, w kształcie chusteczki, tworzącej długi zab na plecach.

Trzecia wizytka z materii *matlassée*, w drobne paski, przybrana u dołu bogatą frendzlą, miała u rękawów plisę aksamitną, szeroką na ćwierć łokcia. Wzdłuż pleców przechodziły dwie także plisy, przytwierdzone u dołu kwastami. Szyję otaczała szeroka frendzla.

Z pomiędzy skromniejszych okrywek, podobał nam się surducik z czarnego wełnianego wyrobu, w drobne paski, z tyłu wcięty do figury, z przodu zapięty na dwa rzędy szmuklerskich guzików.

Inny także surducik, nieco strojnieszki, obszyty był u dołu karbowaną frendzlą. Z pod rozwartych przodów wyglądała długa aksamitna czarna kamizelka. Kieszenie po bokach nisko umieszczone, z klapką aksamitną i pasmanterią, i aksamitne mankiety u rękawów dopełniały przybrania.

Kapelusze zimowe znacznie większe od zeszlórczonych mają główkę dosyć szeroką rondko spuszczone na czoło i uszy, tworzące zarazem karczek. Pod rondem żadnego nie ma podpięcia, tylko namarszczony atlas albo aksamit. Dano im nazwę *cabriolet* gdyż w rzeczy samej ochraniają twarz od wiatru jak podniesione pudło kobryoleta. Do wyjścia na ulicę, przyjęte powszechnie kastorowe, czarne lub szare w różnych odcieniach. Zdobia je pękami pór strusich, aksamitem i ptaszkami wszelkiego rodzaju, zaczawszy od zamorskich papug z jaskrawym pierzem, aż do naszych skromnych kukułek. Młode osoby noszą okrągłe toczki, w różnych kolorach odpowiednich do kostiumu, objęte w koło futerkiem lub piórami. Ptaszek albo przynajmniej skrzydełko stanowi konieczną ich ozdobę. Kwiatów mało dziś używają do przystrojenia kapeluszy.

Jako osobliwość wpadł nam w oczy kapelusz kastorowy cały drukowany w turecki deseń. Uważaliśmy także mufki i wielkie kołnierze z tureckiego kaszmiru, obłożone z brzegu czarnymi lub białymi królikami. Zapisujemy to jako ekscentryczność; z przekonaniem że jej nie przyjmą wytworne Paryżanki.

Mówiąc o dziwactwach mody, wspomnijmy tu jeszcze dwie suknie, które widzieliśmy w jednym z wielkich magazynów. Pierwsza z niebieskiej materii jedwabnej, wygarniowana koronką, miała plisy z atlasu bladego żółtego i *caroubier*. Stanik w formie fraczka, podbity był atlasem *caroubier* wyłożonym po bokach. Pod spód szła kamizelka żółta, spięta na złote guziki.

Druga suknia jedwabna w kolorze jasno miedzianym na błękitnej spódnicy, z błękitną kamizelką i pękami wstążek w dwóch kolorach, niemniej raziła oczy. Widząc zdziwienie nasze, właścicielka magazynu rzekła z uśmiechem, że te suknie przeznaczone dla podróżnej amerykanki. Do każdej z nich dodany był kapelusz z pękiem piór w jaskrawych kolorach.

Obok tych eudacnych sukien, przytoczmy inne, wystawione w magazynie *Petit S. Thomas*, odznaczające się smakiem prawdziwie paryżkim. Jedna z nich ciemno fioletkowa aksamitna, miała przód nagarniowany czarną koronką. Tyłne bryty tworzące długą powłokę, zaokrąglone po bokach, przechodziły do przodu i zakładały się w stanie jeden na drugi. Brzegiem szedł wolancik z koronki czarnej, szerokiej na cztery cale. Stanik do tego pod szyję z baskiną mocno się rozchodzącą, przybrany był koronką i kokardami.

Druga suknia czarna jedwabna, dochodziła tylko do ziemi; zdobiała spódniczkę draperią z frendzlą, podpięta bogatymi kwastami. Miejsce stanika za-

stępował kaftanik czarny aksamitny, do figury, przystrojony piękną pasmanterią. Kaftanik ten można nosić do każdej innej spódniczki; moda dzisiejsza nie wymaga bowiem; aby garnirunek sukni zastosowany był koniecznie do kaftanika. Na czarnej spódniczce, nie było wcale aksamitu.

Trzecia suknia z serży białej w odcieniu kości słoniowej, miała garnirunek z piór bażancich, szeroki na dwa cale, położony na szerszych cokolwiek plisach z czarnego aksamitu.

Powiedzmy jeszcze słówko, o rannych szlafrokach japońskich. Te jakkolwiek jaskrawe i excentryczne nie tyle razią nas, gdyż przeznaczone wyłącznie do domowego ubrania. Widzieliśmy jeden z tkaniny wełnianej *Yeddo*, w wielki deseń na tle błękitnozielonkawatem. Szeroki, długi krajany w proste bryty, przepasany był w stanie szarfą, z ciemno pąsowego fularu, przewiązaną z boku na węzeł. Rękawy długie rozszerzone u ręki podbite były pąsowym fularzem.

Długo zaniedbane czepeczki, zaczynają wracać do mody, w skutek zapewne mniejszej objętości szynionów. Widzieliśmy bardzo ładne modele, w jednym z pierwszych magazynów tutejszych. Śliczny był czepeczek z atlasu *ivoire*; otoczony frendzlą z białych pereł, spadającą na włosy. Nad czołem upięta była kokarda atlasowa; z poza niej wybiegało różowe fryzowane piórko odwrócone w stronę warkocza.

Drugi czepeczek z białego fulara *surrah*, ogarniowany koronką bretońską, miał wpiętą z boku gałązkę, z dwoma dojrzalszymi morelami.

Miejsce zarzuconych kwiatów, zastępują owoce. U innego czepeczka, uważaliśmy kilka pięknych śliwek, u innego znów gałązkę leszczyny z orzechami.

Negliżyki z fularu pompadour, w drobny rzucik ogarniowane koronką bretońską, powszechnie używane na rano. Robią je zazwyczaj z fularowych chusteczek.

Mnóstwo widać po magazynach pelerynek, i krawatek sznelowych, w mieszanych kolorach, z odpowiednią u brzegu frendzlą. Czarne chusteczki z grubiej siatki sznelowej, bardzo też używane.

#### Przyjaciela Dzieci Nr. 44 wyszedł z druku i zawiera:

Bretania i jej mieszkańcy (z drzew.). — Nasienie przyszłości (wiersz). — Pogadanki z Ojcem (z drzeworytami). Uderz w stół a nożyce brzękną (komedycja). W Dodatku: Eugeniusz mały winiarz.

#### Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.  
Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).

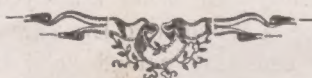
#### Tygodnika Rolniczego Nr. 43 wyszedł z druku i zawiera:

Przegląd weterynaryjny — Tegoroczny stan urodzajów. — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. Lekarstwo na parchy u koni O świerzbie. O robakach w nosach u owiec. O motylicy. Pierwsze mleko krowy. Jodyna. — Korespondencja — Kronika rolnicza. — Wiadomości krajowe i handlowe.

#### Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.  
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.  
Adres: Do Redakcyi **Tygodnika Rolniczego** w Warszawie, Ulica Chmielna N. 1530 (20).

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.





# KRZYŻ W MOUGUERRE.

PRZEZ

pani4 Klare de Chandeneux

przekład

K. P.

(Dalszy ci4g).

Zreszt4 by4o to tylko przelotne spojrzenie, gdy tymczasem pi4kne oczy m4odego oficera, wpatrywały si4 w ni4 z pewnym wyrazem przerażenia.

Pierwsze wraźeni, najnieomylniejsze wedł4g zdania niektórych fizyognomist6w, kt6re w wielu wypadkach wywołuje uczucie, pierwsze wraźenie Stefana by4o zgubnem dla Maryi-Anny.

Stała, wspieraj4c si4 jedn4 r4k4 na białym kamiennym krzyżu, wznos4cym si4 na płaszczyźnie, co uwidoczniało jeszcze wi4cej zbytni4 szczupł6sć j4j w4tł4j kibici.

Rysy j4j wprawdzie nie by4y brzydkie, ale trudno by4o tego dostrzedz przy tak chorobliw4j cerze, że twarz jej zdawała si4 wykut4 z tegoż samego co krzyż kamienia. Oczy niepewnego koloru pozbawione by4y Źycia i blasku.

Dodajmy do tego pierś w4zk4, ramiona chude, zbyt dług4 szyję podtrzymuj4c4 pochylon4 gł6w4, i co najgorsze wyraz cierpienia widoczny w cał4j postaci, a b4dziemy mi4c wyobraźenie o niepon4tnej powierzchown6sći panny de Fouzolle.

Na wezwanie ci6tki, Marya-Anna post4piła parę krok6w dla powitania pani de Vambry.

Zmarszczone juź brwi m4odego oficera zmarszczyły si4 silni4j jeszcze, kiedy patrzył na j4j ł4kliwe i pozbawione wdzi4ku ruchy.

Przejęty litości4 dla t4j, pomimo ogromnego posagu, prawdziwie wydziedziczonej istoty, pomyślał z westchnieniem:

— Biedna dziewczyna. Jakaż ta Matylda szalona że mogła pomyśleć o wydaniu j4j za m4ż.

Pani de Vambry, ze sw4j strony, przejęta nagł4 nieufnośc4, zadawała sobie w myśli pytanie: co mogł6 skłaniać ojca i stryjenk4, do przyspieszania przez małżeństwo smutnej katastrofy, kt6r4 cała powierzchown6sć dziewcz4cia przeczuwać kazała.

Pani de Fouzolle czytała te wszystkie myśli na twarzach swych nowych znajomych, i czuła że i teraz zawiodła j4 nadzieję.

Pan de Fouzolle pocieszał si4 filozoficznie myśl4, i prawie by4 pewnym że to spotkanie do niczego nie doprowadzi, i Ź4ł6wał tylko że trudił si4 na próżno.

Sama tylko Matylda nie dała jeszcze za wygran4, i zachowała zupełn4 swobod4 wśr6d og6lnego zakłopotania.

Skip4ła na furmana aby wyjął z powozu kosz pełen owoc6w ciast i r6żnych przek4sek, i rozł6żyła to wszystko na murawie.

Na uprzejme zaproszenie pani Bernard, margrabina usiadła, wzięła troch4 owoc6w, i przyjęła nawet kieliszek szampańskiego wina.

Przezorna Matylda nie zapomniała o niczem, i j4j „wiejski podwieczorek“, jak go śmiejąc si4 nazwała nie ustępował w niczem angielskiemu lunchowi.

Nie zapomniała o niczem... tak sądziła przynajmniej; dopiero frasośliwe spojrzenie Maryi Anny, dowiodł6 j4j że tak nie by4o. Szukała oczyma wody kt6r4 chciała złagodzić zbyt mocne dla ni4j wino.

Stefan odgadł to, wstał, i zaczął ogl4dać si4 do koła, czy nie zobaczy w pobliżu jakieg6 strumyka.

— Nie odchodzź, rzekła pani Bernard, posł4 Jana.

— Niech lepiej zostanie przy koniach; nie pierwszy to raz w Źyciu p6jdę na rekonensans, dodał z uśmiechem.

— O! niech si4 pan nie trudi, zawołała zmieszana Marya-Anna, nie pozwalaj4 mi pić zwykle wina szampańskiego, ale sądzę że mogę przecieź raz przest4pić ten zakaz.

I zmuszaj4c si4 do uśmiechu, przył6żyła do ust kieliszek. Zaledwie jednak przełknęła kilka kropel, szumi4cy i zbyt mocny nap6j tehu j4 prawie pozbawił. Postawiła kieliszek z lekkim wyrazem zniecierpliwienia; przykro j4j by4o że i w tem nawet musi r6żnić si4 od innych kobiet, taraz zwł4szcza gdy oczy tego m4odego oficera tak dziwnie na ni4 patrzyły.

Zaledwie Marya Anna zwr6ciła oczy w inn4 stronę, Stefan oddalił si4 nieznacznie i zbiegł z płaszczyzny, z zamiarem poszukania jakiejś chaty wieśniacz4j, w kt6r4j nie odmówi4 mu z pewnością szklanki wody. Dostrzeg4ł w dali wieżyczki jakieg6 dawnego obronnego zamku, ale odległ6sć musiała być znaczna, a wiedział że grzecznośc jego dla panny de Fouzolle straci cał4 sw4 wartośc, jeźeli nie wr6ci prędko.

Spotkał jakieg6s ćł6pca, w baskijsk4j narodow4j czapeczce, za kt6rym biegł wielki czarny kozioł, z groźnemi rogami.

— Czy nie ma tu strumienia w pobliżu? zapytał Stefan.

— Jest tam, odpowiedział ćł6peczyk, wskazuj4c r4k4 w dolin4.

— A moźe jest niedaleko jakaś chata?

— Jest wi4c... Al! prawda, jest takźe dom Irribery.

— Czy zt4d daleko?

— Bardzo blisko.

Stefan zwr6cił si4 natychmiast na wskazaną drogę, i wkr6tce spostrzegł na pocz4tku wsi malutki domek, zapewni4 najskromniejszy ze wszystkich, kt6rego jedyne okienko wygl4dało z pod dachu bujnie zarostł6go pomurnikiem.

Z wewn4trz dochodził go gł6s czysty i świeży, śpiewaj4cy jak4ś smętn4 baskijsk4 piosenk4.

Stefan by4by chętnie zatrzymał si4 tam czas jakiś, aby posłuchać śpiewu posiadaj4cego tak czysty miejscowy charakter, gdyby nie potrzebował si4 spieszyć. Popchn4ł drzwi i wszedł do chaty.

Śpiew zamilkł, a śpiewaczka powstała nagle, zdziwiona jego obecnośc4.

Była to moźe dwudziestoletnia baskijska dziewczyna, wysoka, silna i gi4tk4 w ruchach, jak wszystkie prawie kobiety w t4j cz4ści g6r. Ogromne czarne włosy, skręcone bez żadnej pretensyi, tworzyły dyadem nad j4j szerokim i ogorzał6m

czoł6m. Długie jedwabniste rzęsy łagodziły blask wielkich, bardzo czarnych i dziwnie pi4knych oczu. Usta by4y dośc duże ale świeźe i rumiane.

Pi4kna Baskijka nie wyrzekła ani słowa, zwr6ciła tylko na m4odego oficera pytaj4ce spojrzenie.

— Czy mogę prosić o szklankę wody... dla jedn4j z dam przybyłych tu na spacer? zapytał troch4 nieśmielony niespodziewanem spotkaniem t4j uderzaj4co pi4kn4j dziewczyny, kt6ra nie spuszczała wcale oczu, przed jego pełnem zachwytu spojrzeniem.

Bez najłżejsz4j oznaki zakłopotania, napełniła natychmiast czarny gliniany garnczek śwież4 wod4, i rzekła podaj4c go panu de Vambry.

— Wszystko tu jest na rozkazy pana.

Wywiązawszy si4 w ten spos6b z obowi4zk6w gościnn6sći, usiadła napowr6t i zająła si4 jak przedtem robot4 na drutach.

## IV.

Stefan oci4gał si4 z odejściem troch4 zadługo, aby to mogł6 nie zwr6cić uwagi. Czy nie chciał tak prędko z przed oczu tego pi4knego zjawiska czy t4ż nieś sam dzbanek?

Wid4c pi4kna dziewczyna by4a przekonaną że ten drugi pow6d zatrzymuje nieznanego, bo zn6w wstała, i odbieraj4c z r4k jego dzbanuszek, rzekła z lekkim uśmiechem:

— Wskaź mi pan drogę, zaniosę sama, skoro to pana wprawia w taki kłopot.

Stefan nie sprzeciwiał si4 temu wcale, b4dźze odgadła prawdziwy pow6d jego wahania, b4dźze mu przyjemnie by4o mi4c tak4 towarzyszk4.

Wyszła pierwsza, zamknęła za nim drzwi i zwr6ciła si4 szybkim krokiem we wskazaną stronę.

Z pod kr6tki4j wełnianej sp6dniczki ukazywała si4 zgrabna noga, w narodowych sandałach, wypłatanych z kory.

Ch6d miała lekki lecz pewny, równie jak kibic gi4tk4 pomimo siln4j budowy ci4ła. Krucze włosy połyskiwały na słońcu, a pleć nie ł4kaj4c si4 jego promieni, posiadała złotawy odcień dojrzałych winogron.

Był to całkiem nie znany panu de Vambry typ pi4knośc, połączonej z pewn4 surowośc4, prostot4 i dum4.

Ulegaj4c chęci dowiedzenia si4 czeg6s o ni4j, zapytał:

— Czy nie zechcesz mi powiedzieć swego nazwiska?

— Gracioza Irribery, odpowiedziała, nie zwracaj4c nawet ku niemu gł6wy.

Stefan zapomni4ł że by4 daleko od Bulwaru wł6skiego.

— Jakźe stosowne masz imieł! zawołał z najgł6bszym przekonaniem.

Spojrzała wtenczas na niego z z4dziwieniem, prawie z gniewem, i milcz4c przyspieszyła kroku.

Wkr6tce stanęli na płaszczyźnie, podwieczorek by4 juź skończony; teraz furmani zajadali ze smakiem pozostałe resztki, w cieniu swych powoz6w.

Margrabina i pani de Vambry rozmawiały z sob4 siedz4c na pokryt4j muraw4 pochył6sći, zastępuj4c im zarazem krzesł6 i dywan. Troch4 dalej, pan



de Fouzolle czytał gazetę, dla ukrycia nudów i niezadowolnienia, nie śmiał już pocieszać się nadzieją.

Były przedsiębiorca robót publicznych, położył się pod jaworem i spał jak zabity.

Matylda zbierała poetycznie bukiet polnych kwiatów.

Stefan szukał oczyma Maryi Anny. Rąbek jej białej sukni wysuwającej się za podstawą krzyża, wskazał mu gdzie się znajduje.

Gracioza Irribery zwróciła się zrazu do Matyldy, sądząc że to ona chciała ugasić pragnienie, ale Stefan ją zatrzymał; wtedy zbliżyła się do krzyża zatrzymując zadziwione oczy na pannie de Fouzolle.

Marya Anna siedziała w napół leżącej postawie, nacechowanej znużeniem, z rękami opuszczonymi na kamienną podstawę krzyża, z głową także wspartą na kamieniu, gdzie pęczek wonnych ziół i trawy służył jej za poduszkę. Wzrok jej zatrzymywał się to na Bajonnie rozsiadającej się u jej stóp, to na Adurze dążącej do przyciągającego ją morza.

Gracioza pochyliła się ku niej i podała dzbanuszek z tak zachęcającym ruchem, że Marya Anna nie zadając żadnego pytania przyjęła go z jej rąk, i przyłożywszy do ust zaczęła pić z gorączkową chciwością, co przy tak gorącym dniu mogło być szkodliwym.

Oddając jakby z żalem dzbanuszek, podziękowała Graciozie kilku uprzejmymi słowami, a panu de Vambry spojrzeniem.

Młoda Baskijka ukloniła się z wyrazem uszanowania i litości i odeszła natychmiast. Stefan pośpieszył za nią.

— Dziękuję ci, Graciozo Irribery, rzekł do niej, choćbyśmy się nie zobaczyli już nigdy, nie zapomnę o twój usługach.

Zamiast odpowiedzieć coś na to, odezwała się poważnie:

— Czy pan wie o tem że siostra pana jest bardzo słaba?

— Ta panienka nie jest moją siostrą.

— Tak?

— I sądzisz że jest chora?

— Bardzo chora.

— Czy baskijskie dziewczęta są lekarkami.

— W naszych górach znana jest sztuka uzdrawiania.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— W takim razie uzdrów to biedne dziecko, spełnisz prawdziwie dobry uczynek.

— Czy to przyjaciółka pana?

— Tak jest.

Gracioza wahała się chwilę, potem zapytała nagle:

— Może to pana narzeczona?

Stefan zdrzął.

— Nigdy nie było to mniej prawdopodobnem jak w obecnej chwili, odpowiedział z największą żywością.

— Żegnam pana! powiedziała Gracioza, pochylając głowę z takim ruchem, że nie potrzebowałaby się go powstydzic nawet księżniczka krwi.

Zeszła z płaszczyzny nie rzuciwszy nawet oczyma na panie zdziwione jej ukazaniem, ani na pana de Fouzolle który wypuścił z rąk gazetę, ani też na pana Bernard, który zapewne przecuciem wiedziony, przestał chrapać gdy się zbliżyła.

Stefan czuł że względy przyzwoitości nie pozwalają mu patrzeć za odchodzącą, pośpieszył więc do Maryi Anny, aby nareszcie wytłumaczyć się ze swego opóźnienia.

Panna de Fouzolle siedząc ściagała wzrokiem pie-

kną Hebę, która tak uprzejmie zaspokoila jej pragnienie. Nagle zaćmiło jej się w oczach i zamknęła powieki. Opanowało ją jakieś dziwne osłabienie, oddech był zarazem ciężki i przyspieszony; czuła jakiś ciężar na piersiach, brakowało jej powietrza. Doznawała nader przykrego zaduszania, a twarz jej zdradzała niepokój i cierpienie.

— Czy pani słabo? zapytał niespokojnie Stefan.

Nie mogła odpowiedzieć. Serce jej zaczęło bić prędko; puls w skroniach uderzał silnie... potem upadła uderzając czołem o kamienną podstawę krzyża. Stefan krzyknął przestraszony; nie zdążył jej powstrzymać, i upadając zraniła czoło.

Na krzyk jego wszyscy zbiegli się w tę stronę; nawet Gracioza wróciła, odgadując że zdarzył się jakiś wypadek.

Otoczono Maryę Annę. Co jej się stało? Czemu przypisać to zemdleńie?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć, i nikt nie wiedział jak ją ratować.

— To choroba gór, powiedziała stanowczym tonem Gracioza.

— Choroba gór? powtórzyła margrabina; nie słyszałam o takiej chorobie.

— A świeża woda którą wypita zbyt echiwe, przyspieszyła zaduszenie.

— Zaduszenie! zawołała przerażona margrabina. Mój Boże! jakże ją ocucić zdołamy.

— Proszę się usunąć, rzekła śmiało Gracioza, ja podejmuję się tego.

Kiedy mężczyźni usunęli się na bok, a kobiety drżały z przerażenia, odpięła pasek Maryi Anny, podniosła ją i trzymała w postawie siedzącej, wspartą plecami o podstawę krzyża. Zamiast tamować krew sączącą się z rany; wyciskała ją jeszcze aby płynęła obficie.

— Al zawołała z gniewem margrabina, powiększasz jej cierpienie.

— Nie, ocalam jej życie, odpowiedziała spokojnie Gracioza.

Upłynęło parę minut w pełnem niepokoju oczekiwaniu, potem usta chorój uchyliły się trochę, powieki zadrgały lekko.

— Zabierzmy ją ztąd prędko! zawołała znów panna de Fouzolle, biegnąc po powóz.

— Gdzie? zapytała Gracioza, czy do Bayonny?

— Ma się rozumieć.

— Nie dojechałaby tam teraz.

Tak strasza przepowiednia przejęła wszystkich dreszczem.

— Cóż więc czynić?... zawołała łkając margrabina.

— To nie może być prawdą, odezwał się nakońiec ojciec, który tylko w ważnych wypadkach objawiał swoje zdanie. Zemdleńie nie pociąga za sobą niebezpieczeństwa.

— To choroba gór, powtórzyła Gracioza.

— Zdaje ci się! nie jesteśmy na takiej wysokości aby powietrze miało być zaduszające.

— Dla pana, nie, ale dla niej...

— Jakąż widzisz różnicę?

— Czy może pan porównywać siłę swych piersi z jej piersiami! odpowiedziała niecierpliwie wskazując palcem szerokie jego ramiona i wątłą postać córki.

— Musimy przecie coś obmyśleć, odezwała się z boleścią panna de Vambry.

— Czy pani margrabina może wierzyć tej dziewczynie? odezwała się Matylda.

— Tak, wierzę jej, odpowiedziała panna de Fouzolle; wieśniaczki mają niekiedy pod tym względem więcej od nas doświadczenia.

Gracioza, nie troszcząc się o to czy otaczające osoby wierzą lub nie jej zapewnieniom, cucila dalej Maryę Annę prostemi środkami, używanymi na wsi. W końcu, gdy starania jej nie przynosiły skutku tak prędko jak pragnęła, przyłożyła usta do uchyłonych ust chorój, i zaczęła wdmuchiwać swój ciepły, silny i czysty oddech w jej piersi.

Wszyscy patrzyli na nią niespokojnie.

Wyprostowała się nagle, zawoławszy;

— Proszę mi pomódz!... przeniesiemy ją.

Mężczyźni podbiegli na jej wezwanie, ale Stefan wyprzedził innych. Dała mu pierwszeństwo nad ojcem nie śpieszącym się tak bardzo, i wspólnie z nim podniosła chorą.

W całej jej postawie było tyle powagi i taka pewnością siebie, że nie sprzeciwiano jej się wcale.

Marya Anna niesiona przez Stefana i Graciozę, oddychała już, ale nie mogła jeszcze mówić. Spuszczali się wolno z płaszczyzny, a wszyscy udali się za nimi, nie rozumiejąc po co tam idą, ale odgadując że dla dobra chorój powinni zastosować się do woli tej dziwnej i śmiałej dziewczyny.

— Przyznaj, droga Matyldo, rzekła panna de Vambry zbliżając się do panny Bernard, że chyba nie musiałaś sądzić aby panna de Fouzolle była do tego stopnia słabowitą, kiedy powzięła myśl wyswatania z nią mego Stefana.

Jakkolwiek mówiła zupełnie cicho, Gracioza posiadająca słuch bardzo bystry, jak zwykle górale, usłyszała te jej słowa.

Obrzuciła pełnem litości spojrzeniem wątłą istotę której głowa spoczywała na jej ramieniu, a potem zatrzymała czas jakiś oczy, na pięknej i pełnej życia twarzy młodego oficera.

Mały, niski domek, stał przy drodze, nie dalej jak o sto kroków, w jednym jego oknie powiewała niebieska firanka, a tuż przed progiem znajdowała się barierka dochodząca do połowy drzwi.

— Tam ją zaniesiemy, odezwała się Gracioza.

— Zabierasz ją do siebie? zawołała margrabina, na pół zadowolniona, na pół przestraszona tem postanowieniem.

— Tak, zabieram ją! odpowiedziała z jakimś dziwnym uśmiechem.

Rzeczywiście zdawało się że unosi jakąś zdobycz, którą pragnie ukryć w wielkiem białem łózku, umieszczonem w głębi izby, stosownie do miejscowego zwyczaju.

— Pozostanę tu przy niej, rzekła margrabina.

— I owszem, odpowiedziała. Będzie pani mogła spać w izdebce, na górze.

— Ja zaś pojedę po naszego doktora, odezwał się hrabia de Fouzolle, znudzony i zniecierpliwiony tym wypadkiem.

— Postąpisz pan bardzo właściwie, powiedziała panna de Vambry.

— Kto wie? szepnął Stefan.

Powozy zwróciły się także na drogę do Mouguerre i czekały przed domem. Pan de Fouzolle wskoczył do swojego, i prosił pana Bernard aby mu towarzyszył, na co ten zgodził się najchętniej, przekładając woń cygara nad towarzystwo dam.

Matylda chciała także popisać się ze swą troskliwością, pozostając przy chorój, ale margrabina przełożyła jej, że obowiązki gospodyni domu nakazują jej wrócić do Bayonny.

Panna de Vambry wsiadła już także do powozu, ale Stefan stał jeszcze na progu, jakby nie miał siły oderwać się od tego miejsca, w którym teraz obecność jego stawała się niewłaściwą. Musiał odejść nareszcie, gdy Gracioza zbliżyła się do niego z temi pocieszającymi słowami:



— Śpi teraz. Rana już opatrzona, oddech spokojny. Jutro oddam ją panu.  
— Jutro?... powtórzył machinalnie.  
— Skoro będzie trochę silniejsza.  
— Jutro?...  
— I skoro oddech ję będzie swobodniejszy.  
— Jutro?... a później?  
— Później, będzie jak Bóg rozporządzi, odpowiedziała trochę opryskliwie.

Odwrociła się i weszła do izby w której margrabina płakała. Pan de Vambry usiadł zamyślony na przeciwko matki, i powóz potoczył się drogą przez Saint-Pierre, to jest inną jak przedtem,

## V.

Pan de Fouzolle szukał długo nadaremnie swego domowego doktora, co wprawiło go w gorszy jeszcze humor; znalazł go dopiero przed samym wieczorem.

— Doktorze! zawołał, opisując mu cały wypadek. Marya Anna udała się do krzyża w Mouguerre, ma się rozumić powozem. Zjadła trochę owoców, napiła się świeżej wody, uczuła że ję tehu zabrakło, zemdlą, i upadając rozciąła czoło o kamień.

— Tam do licha! zawołał doktor.

— Nie można ją było otrzeźwić żadną miarą. Szczęściem nadeszła w samą porę jakaś wysoka, prześliczna wiejska dziewczyna, zaczęła ją ratować po swojemu, uderzać w ję dłonie, i, co na to powiesz doktorze?... wdmuchiwać ję swój oddech w usta.

— Ho! ho! odezwał się znów doktor.

— Otóż to właśnie okazało się skutecznem. Czy cię to nie zadziwia, doktorze?

— Mnie panie hrabio, nie nie zadziwia... zwłaszcza przy takim stanie zdrowia jak panny de Fouzolle.

— Wiem, wiem... powiedział ojciec wstrząsając głową.

— Ale jakże się to skończyło?

— Tak, że ta śliczna dziewczyna zabrała moją córkę do siebie, utrzymując, że z powodu rany, osłabienia i tak ciężkiego zemdlenia, byłoby bardzo niebezpiecznie przewozić ją do Bayonny. Musieliśmy zastosować się do ję woli.

— Jaktó! panna Marya Anna została w Mouguerre?

— Tak; stryjka jest przy nię i oczekuje tam na pana. Sądję że nie zbywa ję tam na troskliwej opiece, zwłaszcza że ta dziwna dziewczyna zdaje się posiadać w wysokim stopniu dar pielęgnowania chorych.

— Dziwna, rzeczywiście, powiedział śmiejąc się doktor. Gotówbym się założyć że panna de Fouzolle dostała się w ręce niezwykłej istoty, bardzo pięknej, rozumnej, i trochę dzikiej, a którą, o ile mi się zdaje, posadzają niektórzy w górach o czary.

— Mieszka w małym, odosobnionym domku; po prawej stronie drogi.

— Dom Irribery; to ta sama.

— Więc pan zna tę dziewczynę?

— Tak, jako całkiem niezwykłą osobistość.

— Ale... co do ję znajomości lekarskich?...

— Ha!... ha!... roześmiał się doktor, nie radziłby nikomu utrzymywać w Mouguerre, że Gracioza Irribery nie jest mędrszą od wszystkich razem doktorów w Bayonnie.

— Wszak pojedziemy, doktorze? zapytał pan de Fouzolle z takim wyrazem jakby spełniał jakąś ofiarę.

— Dziś jeszcze, panie hrabio?

— Tak... nie mogę zostawić Maryi Anny bez...

— Zjem tylko obiad, i natychmiast wrócę.

Doktor Dubois pośpieszył się rzeczywiście i wkrótce pojechał razem z hrabią do Mouguerre.

Cienie zbliżającej się nocy, cisza wiejska, potrzeba otworzenia przed kimś serca, napadająca pewne natury po sutym obiedzie, skłoniły pana de Fouzolle do wynurzenia towarzyszowi podróży swych osobistych niepokojów.

Stan zdrowia córki dręczył go niewymownie; nie mógł się doczekać najbliższego polepszenia. Czy Marya Anna miała suchoty?... Czy to anemija pozbawiła lica ję świeżości a oczy blasku? Gdyby można ją było wydać za mąż!... może to nowe życie, nie tak jednostajne, ogrzane ciepłem uczucia, sprawdziłoby zbawienną zmianę. Ale jakże tego dokażać? Kto tylko przybył z zamiarem starania się o ję rękę, cofnął się przestraszony po pierwszym widzeniu, i pomimo nadziei wielkiego posagu, nie miał odwagi żądać powtórnego spotkania. Toż samo stało się i dziś... niestety.... Byłaby to jednak bardzo pożądana partya!... człowiek młody, bardzo dystygowany... z najpiękniejszą przyszłością... nie bogaty... słowem łączący wszystko czego sobie tak gorąco życzone... Bo trzeba wyznać że ta ciągła choroba zasmucała domowe ognisko nieszczęśliwego ojca, i zasępiła mu życie!... Nie miał jeszcze sześćdziesięciu lat... Poświęcił się dla córki... Gdyby mógł ję dać choćby tylko pozór zdrowia, i wydać ją za mąż nicby mu nie przeszkadzało pomyśleć téż trochę i o sobie. Znał ludzi w jednym z nim wieku którzy ożenili się powtórnie i byli bardzo szczęśliwi... poznał nawet bardzo przystojną wdówkę, której przychylnosc byłoby mu łatwo pozyskać. Czy byłoby to zupełnem niepodobieństwem nadać téż biednej Maryi Annie tylko pozór zdrowia, na jakie kilka miesięcy... choćby na kilka tygodni?... aby można skleić jakieś małżeństwo.

Doktor słuchał milcząc. W jego powołaniu można nasłuchać się wielu zwierzeń, i być świadkiem mnóstwa zdrożności. Nie oburzała go nikczemność, i patrzył spokojnie na niegodziwe postęпки.

— Panie hrabio, odpowiedział obojętnie, bardzo mi przykro że nie mogę spełnić pana życzeń. Już od trzech lat staram się, na próżno, niestety! wrócić zdrowie pannie de Fouzolle; co się zaś tyczy nadania ję pozoru zdrowia, to nie wchodzi w zakres méj sztuki.

Hrabia pochylił głowę, trochę zmieszany tą nauceką.

— Powiedz mi więc przynajmniej szczerze co ję jest.

— Panna de Fouzolle cierpi na niedokrwistość... a pani de Fouzolle, do której jest nadzwyczaj podobna, umarła... na suchoty.

— Wiem o tem dobrze.

— W każdym jednak razie płuca są dziś jeszcze zdrowe.

— Ale czy jutro tak będzie?

— Zatrzymaj się przed tym domkiem, gdzie jeszcze widać światło, zawołał doktor na furmana, unikając odpowiedzi na ostatnie pytanie.

Zatrzymali się wkrótce przed domem Graciozy Irribery, jedynym już, w którym o tak spóźnionej porze paliło się światło. Gracioza ukazała się natychmiast na progu. Byстрыm obdarzona słuchem, oddawna już słyszała turkot powozu na drodze.

— Proszę wejść, rzekła, tylko cicho.

Pierwotnego jeszcze kształtu lampka, roztaczała dokoła łagodne światło, przy którym przedstawił się doktorowi Dubois obraz godny penzla Van Osta-

de'a. Izba była obszerna, kwadratowa, połyskująca czystością, umeblowanie ję składało się z dwóch wielkich kufów, prostego stołu i kuchennych miedzianych naczyń, stanowiących bogactwo w téj okolicy, w których odbijało się światło.

Przy kominie, na krześle, drzemała margrabina, wsparwszy głowę o ścianę, pomiędzy wydrążoną tykłą i kolorowaną ryciną. Długi tren ję sukni rozciągnięty przed kominem, uszczuplał znacznie miejsce zajmowane zwykle przez wielką białą kożę, zadziwioną i widocznie niezadowolnioną tem targnięciem się na ję własność.

— Co się to stało? zawołała margrabina przebudziwszy się nagle.

Biała koza zerwała się, przebiła rogami zawadając ję suknię i wyskoczyła za drzwi.

— Co za szkaradne zwierzę! rzekła margrabina, nie lubiąca wsi, zwierząt i wieśniaków, dla tego zapewne że nigdy wśród nich nie żyła.

— Cicho! odezwała się upominającym głosem Gracioza.

Zasłoniła ręką lampkę, obawiając się aby światło nie przebudziło choręj, a z wyrazu ję twarzy nie można było wnosić że ją cieszy tak spóźniona wizyta doktora.

Marya Anna otworzyła oczy, poznała swego doktora i uśmiechnęła się smutno. Wiedziała że dotąd nie zdołał ję przynieść upragnionej ulgi. Wszakże po to jedynie zwiędziła wszelkie lecznicze źródła we Francji, aby zamiast spodziewanego polepszenia zdrowia, nabrać coraz silniejszego przekonania o bezsilności sztuki lekarskiej. Po co więc było sprowadzać tu do nię lekarza?...

— Tak mi było dobrze! szepnęła przytulając głowę do poduszek.

Doktor Dubois zbliżył się do choręj, wypytując ją. Co za nierozwaga! męczyć się!... narażać na zbyt ostre powietrze!... pić zimną wodę!...

Nie bardzo dowierzał aby to miała być górska choroba, z powodu że wysokość nie była jeszcze tak znaczna, jednak powietrze mogło być za ostre dla osoby tak delikatnej.

— Nie obmawiaj pan powietrza w Mouguerre! zawołała Marya Anna. Zdawało mi się zrazu że jest dla mnie za silne, że nie potrafię niem oddychać... ale jeżeli mnie zaduszało to i upajało zarazem.

Doktor chciał sprostować to określenie, ale nie pozostawiła mu na to czasu.

— Otóż omyliłam się... jest to powietrze zdrowe, orzeźwiające; oddycham nim z największą przyjemnością... Proszę pana, otwórz całkiem drzwi, abym się niem mogła nasyć dowoli.

Doktor trochę zaniepokojony ję uniesieniem, byłby wolał zamknąć drzwi zupełnie, ale Gracioza spełniła natychmiast ję życzenie.

— A czy ta rana na czole bardzo pani dokucza? zapytał, odsuwając lekko chustkę którą Gracioza przewiązała ję czoło.

— O! prawie nie czuję bólu. Nie poruszaj pan chustki.

— Byłoby to całkiem zbyteczne, odpowiedział z uśmiechem, masz pani nieocenioną infirmerkę; nie na próżno utrzymują, dodał złośliwie, że umie doskonale opatrywać rany... przemytników, lekających się zawezwać pomocy lekarza.

— Staram się być użyteczną, o ile to w méj możności, odpowiedziała poważnie Gracioza; jednak to co czynię jest tak mało znaczącem że nie warto o tem wspominać.

— Zdaje mi się że dziś zrobiłaś bardzo wiele, bo panna de Fouzolle po tak długo trwającym zemdle-



niu i niebezpiecznym upadnięciu, ma oddech lekki, puls spokojny, i jest stosunkowo lepiej... ale tylko stosunkowo... jak zwykle.

— A! dzięki Bogu! zawołała margrabina. Tak się o nią lękałam.

— Może pani być spokojną: ten wypadek, jakiegokolwiek były jego powody, nie pociągnie za sobą złych następstw.

— Więc zapewne moglibyśmy zaraz przewieźć naszą chorą do Bayonny?

— Zawsze lepiej że tu pozostała.

— O! tak, daleko lepiej! zawołała Marya Anna. Gracioza rzuciła na nią życzliwe zarazem pełne litości spojrzenie.

— Ale jutro będziemy mogły opuścić te nieszczęsne góry? odezwała się znów margrabina, czująca wstręt do wiejskich chatek.

— Bez wątpienia... byleby tylko gorączka nie wróciła rano.

— Gorączka już nie wróci, powiedziała Gracioza.

Doktor uklonił jej się z ironicznym uśmiechem, i byłby z pewnością odpowiedział uszczypliwie na tę tak stanowczą przepowiednię, gdyby nie wyszła z ust kobiety tak pięknej i tak skorzej do oddania komuś przysługi.

Pan de Fouzolle zaczął się znów niecierpliwieć. Skoro córka jego wróciła do zwykłego stanu zdrowia, nie mieli potrzeby pozostawać tam dłużej.

— Może pojedziemy już, doktorze? zapytał.

— Jestem na rozkazy. Nie zapiszę dziś nic, skoro panna de Fouzolle ma wrócić jutro do Bayonny. Zdaje się że noc przejdzie spokojnie, a więc i pani margrabina będzie mogła udać się na spoczynek. Raz jeszcze zbadał puls chorą, i dodał odchodząc:

— A więc do zobaczenia; będę miał honor do wiedzieć się jutro o zdrowiu pani.

Hrabia pocałował córkę, uściśnął rękę bratowej, wymruczał jakieś podziękowanie, na które Gracioza nie zwróciła całkiem uwagi i wsiadł z doktorem do powozu.

Po ich odjeździe, pozostałe w domku kobiety zamieniły z sobą szczerą dobranoc, gdyż margrabina nie mogła mieć żalu do młodej gospodyni, że nie znalazła w jej domu wygodę do których przywykła. Zgodziła się na to że będzie spać w pokoiku na górze, na czystym ale twardym łóżku, które zapewne dawniej należało do rodziców Graciozy. Sama zaś gospodyni domu postanowiła przepędzić noc na niskim krzeselku, które tak przysunęła do łóżka że mogła oprzeć głowę prawie na nogach chorą.

— Będiesz jutro bardzo zmęczona, i może żałować będziesz tego coś uczyniła dla mnie, rzekła do niej Marya Anna.

— Jestem silna, i nie żałuję nigdy tego co uczyniłam z dobrego serca.

— Więc obudziłam w tobie trochę współczucia?

— Tak.

— Dlaczego?

— Nie wiem, doprawdy.

Widząc że Marya Anna spojrzała na nią z zadziwieniem, dodała:

— Przynajmniej nie umiałabym tego wytłumaczyć.

— Może będąc sama tak silną, i jak się zdaje szczęśliwą, litujesz się nad moim wątłym zdrowiem, i nad moim smutnym życiem.

— Być może.

— Dałaś dowód wielkiej, bardzo wielkiej dobroci... i znajomości lekarskiej także. Opatrzyłaś mi

czoło jakimś balsamem, który ukoił ból, uspokoił bicie pulsu w skroniach, i sen sprowadził. Co to był za balsam?

— Sok z ziół baskijskich.

— Dałaś mi do wachania jakieś krople orzeźwiające jak powiew wiosennego wiatru, a wzmacniające jak kordiał. Co to takiego? Woń ich nie znana mi wcale.

— Bo też krople te są całkiem nieznanne w miastach.

— Doktor powiedział że leczysz przemytników, czy w istocie znasz sztukę lekarską?

— Umieć tylko to czego mnie matka nauczyła. Matka moja była kochaną od wszystkich.

— A ty, Graciozo, czy nie jesteś tak kochaną jak ona?

— Kochaną jestem, ale nie jak ona.

Marya Anna miała wielką ochotę wypytywać się dłużej, tak jej się podobały te krótkie, urywane odpowiedzi, do których nie była przyzwyczajoną, ale Gracioza nie zdawała się usposobioną do rozmowy. Dwa razy wieczorem czoło jej zmarszczyło się pod wrażeniem jakiejś przykrzej myśli, to jest kiedy doktor a następnie Marya Anna wspomnieli o przemytnikach.

— Trzeba teraz spać, rzekła stanowczym tonem, aby doktor nie mógł powiedzieć jutro, że jestem czarownicą zabijającą ludzi szkodliwymi ziołami.

— Ale on przeciwnie był bardzo zadowolony ze mnie.

— A! doprawdy?

— Zdajesz się o tem powątpiewać.

— Nie lubi aby ktoś wyzdrowiał bez jego pomocy.

Marya Anna usiadła na łóżku.

— A ty mogłabyś mnie uzdrowić? zapytała nie spokojnie.

Gracioza milczała.

Biedna Marya Anna powtórzyła to pytanie, złożwszy ręce jak do modlitwy.

— Ty mogłabyś mnie uzdrowić, wszak prawda?

Gracioza zbliżyła się do niej, przechyliła lekko jej głowę na poduszki, przesunęła rękę po jej oczach i czołe i rzekła cichym i wesołym głosem jakim się przemawia do dzieci:

— Śpij; ja uzdrawiam tylko tych którzy mnie słuchają.

Marya Anna zamknęła oczy i leżała spokojnie; ale nadzieja która nagle zabłysła w jej duszy zasnęła jej nie pozwalając. Ta piękna dziewczyna tak małomówna, i posiadająca tak głębokie spojrzenie, obudziła w niej tę nadzieję tak często omyloną, że nie wierzyła już aby ją kiedykolwiek mogła odzyskać i wierzyć że ktoś potrafi przywrócić jej zdrowie.

Kiedy ją przeniesiono pod jej dach, była tak słabą że obawiano się przewieźć ją do Bayonny, ale za ledwie zażyła przyrządzone przez nią lekarstwo, uczuła się rańszszą. Jakim sposobem Gracioza mogła zasłynąć jako lekarka i nabyć tych wiadomości?... Musiały jej być chyba przekazane przez jej matkę... przez tę matkę kochaną od wszystkich.

Jeżeli nawet Gracioza nie znała sztuki uzdrawiania, to przynajmniej posiadała niewątpliwie dar przynoszenia ulgi. Marya Anna czuła się przy niej spokojniejszą; cieszyło ją to że ona czuwa nad nią. Z prawdziwą także przyjemnością pomyślała, kiedy nad ranem sen zaczął sklejać jej powieki, że zasympia pod opieką tej prawdziwej siostry miłosierdzia, której brak tylko było zakonowego ubrania.

## VI.

We wspaniałym pałacu pana Bernard, przy Alejach morskich, godziny wieczorne upływały wolno, oziębiały, a wszystkie czoła były zaszępienne.

Matylda nie mogła darować Maryi Annie, że zaraz przy pierwszym widzeniu, nagłym swoim zemleniem dowiodła że prawdziwym było szaleństwem myśleć o wydaniu za mąż tak chorowitej osoby.

Pani de Vambry żałowała, że zachęcona świetnymi nadziejami, zgodziła się zbyt pośpiesznie na odbicie tak dalekiej podróży: i pomimo całej znajomości świata nie zdołała ukryć zupełnie, że przykrość pochodząca z doznanego zawodu, zmniejszała bardzo przyjemność spędzenia kilku dni obok jej młodej przyjaciółki.

Stefan był tak zamyślony, taki jakiś nie swój, że nawet matce jego wydało się to niewłaściwym. Nie byłoby w tem nic dziwnego gdyby ktoś ubolewał w duszy nad utratą tak świetnej partyi, ale wszakże wiek Stefana, jego zawód i położenie towarzyskie, obiecywały mu najpiękniejszą przyszłość. Nie miał więc powodu tak bardzo trapić się i zamyślać. Wesoły uśmiech tak dobrze przypadał mu do twarzy. Gdy koło jedenastej przyszedł powiedzieć jej dobranoc, zatrzymała go chwilę w swoim pokoju.

— Rozjaśnij już to czoło pokryte chmurami, kochany mój synu, rzekła z czułością; Matylda postąpiła nieroztropnie przywołując nas tutaj, ale wszakże przybyłeś tu jedynie stosując się do moich życzeń. Opatrzność chciała nam pokazać, że bogactwo nie może wynagrodzić braku tak wielkiego skarbu jakim jest zdrowie, a ponieważ układy nie zostały jeszcze rozpoczęte, możemy się wycofać z największą łatwością. Omyliliśmy się i nic więcej.

— Tak, omyliliśmy się, rzekł Stefan, a jest to kara za bezwiedną chciwość bogactw, od której jednak, sądziłem się być wolnym!

— Ty oskarżasz się o chciwość!... wszakże byłbyś się ożenił jedynie aby nie sprzeciwić się moim życzeniom.

— Było to złem, jak widzisz sama, droga matko.

— Jakto... złem?

— Jeżeli serce nasze zostaje w sprzeczności z tem co czynimy, jestże dobrze, moralnie, postępować dalej bez względu na jego przestrogi?

— Mój Boże! jakimże moralistą stałeś się nagle.

— Bo gdyby nie ten nagły wypadek, złe moje zamiary mogłyby dojść do skutku.

Pani de Vambry wybuchła wymuszonym śmiechem, śmiechem matki nie chcąc słuchać głosu sumienia, kiedy idzie o świetne ożenienie syna.

— No! teraz możesz już być spokojnym, mój ty drogi Katoniel! odezwała się żartobliwie; okoliczności uwzględniając drażliwość twego sumienia; zwolniły cię od przymusu starania się o tę biedną dziewczynę.

— Zasługuje rzeczywistość na szczerą politowanie! powiedział z wyrazem współczucia.

— O! tak... ale cóż czynić? Pomimo najszczerzej chęci nic na to poradzić nie mogę... Poszukamy coś lepszego.

— Nic nie nagli, droga matko.

— Tak, głównie o to tylko idzie abyś ty był szczęśliwym

Uściśnął matkę za to serdeczne słowo, i odszedł aby mogła marzyć lub śnić swobodnie, że jej ukochany Stefan prowadzi do ołtarza młodą panienkę, bogatszą jeszcze od Maryi Anny, piękną jak anioł i silną jak dąb.

(d. c. n.)



## Opis do N-ru 44.

## N. 1—2. Ubrania wieczorowe.

## N. 1 i 6—7. Suknia z draperyą à panier.

Suknia z czarnego jedwabnego repsu, strojnie przybrana koronką i pasmanterią jedwabną przerabianą dżetem, ma stanik z bardzo przedłużoną z przodu baskiną, zachodzącą na panier, a przód spódnicy ułożony w równe, płaskie kontrafaldy przedzielane pasmanterią. Tren ogarniętowany był wązkiem, drobnym plisowaniem i koronką, przyszytą pasmanterią. Rękawy do łokcia odrobione być mogą podług ryc. 1 lub suto przystrojone crêpe-lisse i koronką jak na ryc. 6 i 7.

## N. 2. Suknia ze stanikiem wyciętym bawetowym.

Biała atlasowa, balowa suknia, miała stanik kirasowy wycięty, z tułu sznurowany, z przodu bawetem zakończony. Zgrabna berta i sute rękawki zrobione z blondynowego tiulu, ruloników atlasowych i kokard z białej wstążki. Na przednich brytach spódnicy ułożona dwoista draperya à panier, oszyta koronką przepinaną pukielkami z wstążki, z boków ra zeszytciu z brytami tylnymi zakończona jest koronką wachlarzowo układaną. U dołu przednie bryty spódnicy ozdobione dwoma falbanami z koronki przepinanej pukielkami, a tren zdoł garnirunek z atlasu fałdowanego, ułożonego w rozetki i przepinanej wstążką.

## N. 3—5. Kapturek do płaszczyka podróżnego, mogący być zakładany na głowę. Krój na dodatku z formami N. III, Fig. 12—14.

Kapturek stanowiący zarazem bardzo praktyczne przykrycie głowy od zimna lub deszczu, odrabia się oddzielnie, a następnie przypina pod wykładanym kołnierzem do płaszczyka. Rycina 3 przedstawia kapturek założony na głowę, rycina 4, płasko złożony, a rycina 5 przypięty i zręcznie na płaszczyku ułożony. Najpierw trzeba pod główne części kapturka, przykrojone podług Fig. 12 i 13 dać podszewkę jedwabną, następnie część Fig. 13 złączyć z ranwersem Fig. 14, od W do \*, potem części te zeszyć stębnówką z Fig. 12 od U do V i Y. Ponieważ Fig. 14 stanowi (przy założeniu kapturka na głowę) rodzaj daszka, którego w górę podniesiony lub nad czoło spuszczone być może, trzeba go więc przykroić podwójnie, dać w środek sztywną podszewkę i przestębnować cały w maszynie w odstępach 1-go cent.; w równych odstępach przestębnowany jest w okrag środek kapturka, jak to widzimy na ryc. 4 i 5. Do spinania kapturka pod brodą, dodany jest z podwójnego materiału pasek na guziki przypinany, mający 2 1/2 cent. szerokości a 19 długości.

## N. 8—9 i ryc. 15 w N. 45. Ubranie z długim stanikiem i spódnicą upiętą w draperyę. Krój stanika N. VII, Fig. 39—44.

Rycina 15 w N-rze 45 przedstawia ubranie złożone ze spódnicy z gładkiego welnianego materiału i długiego stanika pluszowego, aksamitnego lub z pekinu, w takim samym kolorze, którego służy także na szerokie plisy do ubrania spódnicy. Na Fig. 39—44 podajemy formę stanika osobno przedstawionego na ryc. 8, a Fig. 39—44a noży zestawienia ze sobą części stanika. Części pleców Fig. 41—42, zeszywają się ze sobą tylko od E do F od

F do dołu zakładają się tylko jedne na drugie i zczepiają gwiazdką do gwiazdki. Spódnicę oszywa się plisowaniem 33 cent. szerokiem, w środku przestębnowanym, w górze zakończonem nagłówkiem 4 cent. szerokiem. Na Fig. 45 dajemy mały model i miary połowy draperyi, którą w odstępach 30 cent. od paska, układa się na spódnicy. Przedni bryt a ozdobiony jest w górze plisą 14 cent. szerokością, z boków sfaldowany podług znaków do 50 cent. długości, bryt tylny b jest z boków również przyfaldowany, u dołu gwiazdką do gwiazdki wywinięty i pluszową plisą obłożony. Kokardy z wstążki w atlasie 6 cent. szerokiej. Trochę odmienny stanik z pekinu do sukni welnianej, podajemy na ryc. 9.

N. 12—13. Agrafki dwie. Tak do przystrojenia kapeluszy jak i do przepięcia kokard przy krawacie, ciągle używane są rozmaite błyszczące agrafki, już to metalowe z kamieniami lub dżetowe, z konchy perłowej i t. p., nabijane stała, srebrem lub złotem.

N. 20. Żabot z muslinu i koronki, układa się z dwóch prostych kawałków muslinu, mających po 18 cent. długości a 12 szerokości, w jednym końcu w żab ściętych i oszytych koronką bretońską 5 centym. szeroką; węzły układa się z dwóch skośnych kawałków także 12 centym. szerokich.

N. 21. Żabot z indyjskiego muslinu i koronki. Dolną część żabota układa się w drobne, ściśle zachodzące fałdki, z prostego 18 centym. długiego kawałka indyjskiego muslinu, oszytego koronką bretońską, której u dołu po splisowaniu mieć powinien około 15 cent. szerokości a w górze ściśle zsunięte fałdy przyszywa się razem z 7 cent. szeroką plisowaną koronką. Boki oszyć gładko ko-

materyi, złożonej podwójnie i oszytej szlaczkiem 5 cent. szerokim, haftowanej ścięciem płaskim, blade niebieską filozelą, na białej crêpe de chine.

## N. 23—24. Podstawka miedziana i talerz płaski cynowy ozdobiony rysunkiem wypalany.

Różne drobne przedmioty wyrobione z miedzi, cyny i t. p. metali, można ładnie własnoręcznie ozdobić deseniami, które najpierw rysują się na papierze do kopjowania, naklejąją w odpowiednich miejscach, a następnie pociągają za pomocą rendzelka cieczą gryzącą, którą kupić można gotową lub przyrządzić podług następującego przepisu: dwie części pokostu asfaltowego, 1-ną część żółtego wosku, 1-ną część kalafonii sproszkowanej, rozpuszcza się w trochę olejku terpentynowego, lecz nie na ogniu tylko postawione na gorącej blasze albo wstawione w gorącą wodę i mieszane ciągle, dopóki wszystkie części nie rozpuszczą się zupełnie. Roboty wymaga bacznej uwagi ażeby ciecz gryząca nigdzie nie przechodziła za kontury deseni, a gdyby to się przytrafiło trzeba zaraz zebrać ją starannie cienkim, śpiczasto zakończonym drewnkiem. Cienkie żyłki w listkach i arabeskach rysuje się igłą dopóki pokost nie zaschnie. Po wykończeniu roboty, przedmioty cynowe zanurza się w płynie zmieszany z trzech części wody dystylowanej, jednej części serwaseru, 1-nej chlorku potasu (Chlorekali) w którym mokrąć powinny 1 1/2—2 godzin, stosownie do tego czy zagłębienie deseni chcemy mieć mniejsze lub większe. Następnie wyciera się sprzącikiem lekko do suchości bibułą, zostawia spokojnie przez godzinę, potem myje się miejsca rysowane terpentyną oczyszczoną, a tło gładkie czyści aż do połyska. Jeżeli się chce cynie nadać pozór starego srebra, to naciera ją się po wyczyszczeniu szczoteczką maczaną w czarnej olejnej farbie a po wyschnięciu wyciera najpierw bibułą a potem miękką skórą.

Z przedmiotami miedzianymi postępuje się w podobny sposób jak z cynowymi, tylko płyn gryzący składa się z równych części serwaseru i wody dystylowanej, jeżeli jednak tworzyłyby się na nim duże bańki to jest za mocny i trzeba dodać tyle wody żeby tylko powstawały małe perełki. Po wyczyszczeniu nie pociąga się miedzianych przedmiotów farbą olejną tylko lakierem przezroczystym wyrabianym w fabrykach dla zachowania niedzi nowego połysku, bez mozolnego czyszczenia. Na Fig. 71—72 dajemy części deseni na podstawkę miedzianą, a na Fig. 68—70 desenie na talerz cynowy.

## N. 25—27. Patafarka płócienna ozdobiona haftem bamborkowym.

Na kawałku grubego, białego płótna trzymającym 17 1/2 cent. w kwadrat daje się z czterech brzegów aplikację z trójkątów aksamitu ciemno bordo, które w obydwóch brzegach mają po 7 cent. długości, i przyhaftowane są do płótna nitką złotą i kordonkiem niebieskim ścięciem łańcuszkowym, podług próbki ryc. 25 lub 26. Arabeskę środkową haftuje się jedwabiem bordo, niebieskim i nitką złotą, a frendzlę białą bawelnianą, ozdobioną kwaskami z włóczki bordo, wszywa się między wierzch i podszewkę.

## N. 28. Serwetka z płótna szarego deseniowego.

Serwetka trzymająca 18 c. w kwadrat z frendzlą 7 cent. szeroką odrobioną fabrycznie, zarówno jak i szlaczek w koło, haftuje się ścięciem długim, sznurowadkowym i krzyżowym bawełną ponsową i niebieską. Na tle środkowym krzyżki dawane są naprzemian w ten sposób iż tworzą kratkę.



## N. 1—2. Ubrania wieczorowe.

## N. 1. Suknia z draperyą à panier.

## N. 2. Suknia z wyciętym bawetowym stanikiem.

ronką 2 cent. szeroką, która oszywa się także w węzeł i górne dwa końce od dołu skośnie ścięte i drobno plisowane.

N. 22. Kokarda haftowana do kołnierzyka. Model zrobiony był z miękkiej, kiprowanej, blade niebieskiej



N. 29. Pas do mebli haftowany różnokolorowym jedwabiem lub filozelą, na materji meblowej z aplikacją malowaną na aksamicie. Deseń na dodatku z krojami Fig. 35.

N. 32—33 i 37. Kosz okrągły do robót, ozdobiony haftem kolorowym. Deseń na dodatku z krojami Fig. 36—37. Próbkę frendzli ryciny 32 i 33.

Okrągły kosz na nóżkach z wiekiem trochę wypukłym, pleciony z trzciny,



N. 4. Kapturek do płaszczyka ryc. 3. Złożony gładko. Patrz ryc. 3 i 5.

N. 6. Rękaw do łokcia stosowny do sukni ryc. 1.

pokryty bylsuknem ciemno oliwkowym; haftowanem kordonkami kolorowymi. Deseń na wieko dajemy na Fig. 36, a na arabeskę otaczającą boki na Fig. 37. Gałązkę arabeski którą się trzy razy powtarza, obrabia się rzędami sznurowadłami z których dwa brzeżne kordonkiem bordo, dwa przy nich idące kordonkiem oliwkowym, a środek zapełnia się ściąganiem cierniowym, jedwabiem białym niebieskim. Większe listki i środek kwiatu haftuje się kolorem ja-

N. 8. Stanik pod szyję z żabotem koronkowym. Plecy na ryc. 15 w N. 45. Krój N. VII Fig. 39-44.

sno bordo, a małe listki białe niebieskim, brzeżi zaś odznacza się kolorem jasno oliwkowym. Piękną frendzlę robi się sposobem wskazanym na próbie 32 lub 33, z włó-



N. 12. Agra-ka dżetowa nabijana sta-łą.



N. 10—11. Płaszczek formą paletotowa. Krój i opis na arkuszu z formami N. I F. 1—6.

N. 1. Plecy dolmanowe o krocza do ryc. 19 w N. 45.



N. 16. Plecy do paltota weinanego N. 15.

ski crewel w tych co ha t kolorach. Pasek kanwowy potrzebny do frendzli ryc. 32, chowa się pod sukno.

N. 40—41. Sukienka formą princesse dla pańienki lat 10—12.

Sukienka z wykrojem w karo przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 40 i 41, odrobiona była z krapowanego indyjskiego kaszmiru koloru „ivoire”, spólniczkę zdobiły dwa pasy garnirunku złożone z wąskich, drobno plisowanych falbanek i plis podwójnych z wypustką białą atlasową. Na ryc. 40 odcinana spódnica jest w kółko ułożona w płaskie kontrafaldy. Do pleców złożonych z czterech

części, dodaje się od wcięcia w pasie materiału na przemarszczenie widoczne na rycinie, oprócz tego każda część



N. 5. Kapturek do płaszczyka spuszczonego. Patrz ryc. 3 i 4.



N. 7. Rękaw do łokcia stosowny do sukni ryc. 1.



N. 9. Stanik pod szyję z paku do ryciny 15 w N. 45.

pleców zakończona jest długim puklem podszytym atlasem. Plastron z przodu w równych odstępach trzy razy przemarszczony, układa się na gładkiej podszewce i zapina z jednego boku na kryte haftki, pod atlasowymi pliskami zdobionymi przodu. Szeroka szarfa z niebieskiego repsu, w

podługne fałdy złożona i pod kieszenią przeciągnięta, wiąże się z tyłu na duże kokardy.



N. 13. Agra-ka dżetowa ozdobiona brązem złożonym.



N. 17. Płaszczek jesienny z rękawami. Zobaczyc plecy na ryc. 18. Krój i opis na ark. z formami N. II F. 7-11.

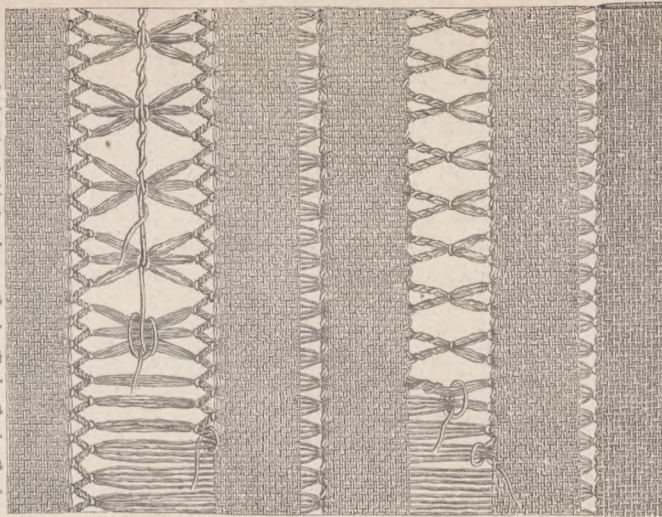
N. 15. Paletot weinany. Zobaczyc plecy na ryc. 16. Krój i opis na arkuszu z formami N. IV Fig. 15—24a.



N. 42 i ryc. 17 i 23 w N. 45. Suknia z długim bluzkowym stanikiem dla niedorośle pani.

Gładką podszewkę można dać tylko pod karezek, albo też pod stanik aż za wcięcie w pasie, co dogodniejsze jest do ułożenia fałd. Na modelu do sukni z jasnego kaszmiru, dodana była mała pelerynka, którą zrobić można z tego co suknia lub co garniturek materyału. W miejsce pelerynki dać można duży

biały kołnierz haftowany na białym. Na ryc. 23 tunika oszyta koronką nicianą wywodzoną kolorowym jedwabem upina się na spódnicy, a przyszyte górne załamanie baskina bluzki. Pasek i kokardy z materyi tego co kasz-



N. 19. Połowa pasa krętek do ryc. 6 w N. 45. Robota „etamine“



N. 21. Kokarda żubotowa z indyjskiego muslinu i koronki.

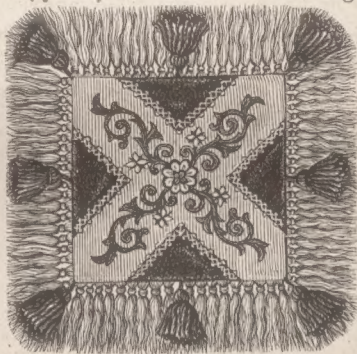


N. 22. Kokarda haftowana.

mir koloru. Na rycinie 42 sukienka z niebieskiej alpaki, ze spódniczką fałdowaną, w którą z przodu wstawiony był pas z materyi jedwabnej, ubrana koronką, kokardami ze wstążki i małymi guzikami.



N. 23. Podstawka miedziana pod karafkę, ozdobiona rysunkiem wypalnym. Deseń na ark. Fig. 71—72.



N. 27. Patafarka robiona na białym płótnie. Aplikacja i haft tamborkowy.

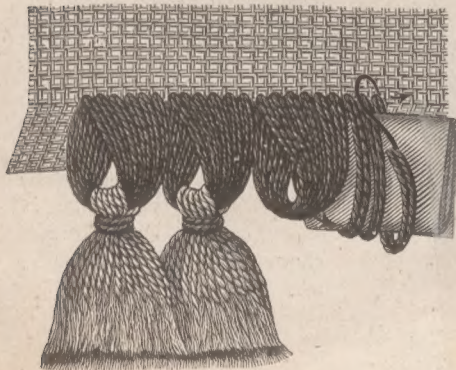
## Opis do N. 45.

N. 4. Serwetka ze skośnie ściętymi rogami haftowanymi ścięciem krzyżowym.

Serwetkę do przykrycia podługznego stolika, albo do położenia na środku obrusa, najlepiej wyszywać bez podłożenia kanwy na białym umyślnie na ten cel wyrabianem płótnie gazowym albo przetakowym. Model miał 75 cent. długości a 39 szerokości, rogi ścięte były na 11 cent. długości; kratka ażurowa robiona na wyciągniętych nitkach, której paski krzyżują się w rogach mieć powinna 1—1½ cent. szerokości. Deseń do haftu krzyżowego dwoma lub trzema kolorami ławelny, i próbki kratki, w poprzedzających N-ach z roku bieżącego. Brzegi serwetki oszyć koronką nicianą 2 cent. szerokość.

N. 5. Zasłona do okien zesuwana na bok, ozdobiona haftem krzyżowym i kratką ażurową.

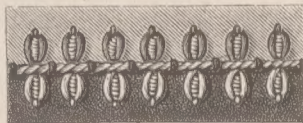
Firanczki zsuwane zastępujące rolety robić można z białego, grubego i rzadkiego płótna domowej roboty. Wstawki 3 i 6 cent. szerokie, odznaczające się matowo, mogą być tkane fa-



N. 32. Próbką roboty frendzli do koszyka ryc. 37.



N. 31. Kwadrat do haftu krzyżowego i ścięciem na dwie strony



N. 26. Szlaczek do r. 27.



N. 24. Talerz cynowy do biletów. Rysunek wypalany. Deseń na ark. Fig. 67—70.



N. 28. Patafarka wyszywanana na płótnie szarem deseniowym.



N. 29. Pas do mebli. Haft różnokolorowy z aplikacją malowanego aksamitu. Deseń na arkuszu Fig. 35.



N. 30. Przykrycie na stolik do szwica. Haft różnokolorowy na suknie.

brycznie, kolorami na tle białym, albo wyszywane ręcznie ścięciem zwanym tkackim, którego próbki podaliśmy w N. 34 na ryc. 39 i w N. 36 na ryc. 16 i 22. Między wstawkami dane są szlaczki haftu krzyżowego 7 centym. szerokie, zakończone wąską kratką ażurową i obrąbkami pół cent. szerokim. Nad szlaczkami na tle firanki wyszyte są skośnie gałązki, zajmujące na wysokość 54 krzyżyki. Brzeg dolny oszyty koronką nicianą 3 cent. szerokość.

N. 6. Stora do okna ozdobiona kratkami, haftem dzierganym i koronką irlandzką. Próbkę krętek na rycinie 19 w N. 44, a desień haftu i koronki na dodatku z formami Fig. 64.

Długość i szerokość story dopasowana być powinna podług okna, tak



N. Kokarda żubotowa z muslinu i koronki.

ażby od dołu sięgała aż do podłogi; za materyał służy cienka kanwa płócienna albo płótno gazowe. Liście dolne i pas górny deseni podanego z naróżnikiem na F. 64, robią się

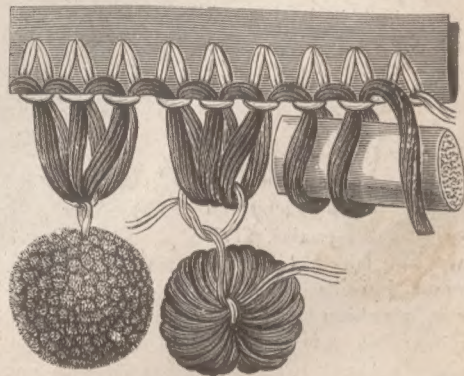
ścięciem dzierganym, sposobem gipiurowym, arabską zaś środkową pomiędzy kratką gipiurową uклада się z tasiemki koronkowej. Pas górny arabski zakończający koronkę, umieszczony między dwoma rzędami tasiemki i złączony z niemi kratką gipiurową, stanowi wstawki pomiędzy pasami krętek, których układ wskazany jest na rycinie 6.

N. 7—8. Kokarda kwadratowa z szerokiej wstążki albo paku, zakończona jest szeroką frendzlą macram robioną z kordonku jedwabnego w dwóch kolorach, podług próbki podanej na ryc. 8.

N. 9. Wycieraczka do piór ozdobiona łatwym haftem.

Postument wycieraczki jest z toczonego, czarno polituowanego drzewa, a kielich wypełniony szczoteczka do wsadzania piur, składa się z sześciu kwatek tekturowych pokrytych szarem płótnem, na którym odrośnięty jest haft filozofia do cienia, albo w odmiennych kolorach. Brzegi kwatek objęte są skórą czarną. Formę jednej kwatki i desień haftu dajemy na Fig. 38.

N. 10—12. Pismosuszka ozdobiona haftem renaissance, odrobionym różnokolorowymi jedwabiami, na skórze czarnej



N. 33. Próbką roboty frendzli z kulkami do ryc. 37.



**N. 13. Sukienka princesse ozdobiona szlakami haftowanemi dla młodej panienki.**

Model sukienki z popielatego dyAGONALU, ozdobiony był szlakami kolorowo haftowanemi na białym kaszmirze. Draperya w górze odwrotnym szwem na spódnice przy-



**N. 35. Kapelusz z czarnego jedwabnego filcu, ubrany aksamitem i piórami.**

szyta, u dołu jest w festony przemarszczana, z tyłu zakończona jest haftowaną patką i przepiętą węzłem i dwoma puklami.

**N. 14. Suknia z pelerynką dla damy w podeszłym wieku.**

Czarna kaszmirowa suknia z długą tuniką i stanikiem z baskiną, dodaną miała pelerynkę ozdobioną bogatą frendzlą. Spódnica ogarniowana była dwoma fałdowanymi falbanami i plisowaniem trzy razy w środku przestębnowanym. Tunikę zdobiła koronka i pasmanterya przerabiana dżetem. Czepeczek z blondynowego tiulu ubrany wstążką w pasy białe i popielate.

**N. 16. Ubranie spacerowe z długim paletotem.**



**N. 38. Plaszczyk z fałdami na plecach dla dziewczynki lat 6—8. Plecy na ryc. 39. Krój N. XII, Fig. 58—63a.**

Pod przody dodane są długie części kamizelkowe na które paletot zapina się tylko w pasie na dwa guziki. Tak kamizelka jak kołnierz z ranwersami i plisy do rękawów są z pekinu w paski aksamitne; do przyozdobienia służą torsady przerabiane dżetem i frendzlą. Krawa-

**N. 40. Sukienka princesse dla panienki lat 10—12. Przód na ryc. 41.**



**N. 34. Okragły, czarny, aksamitny kapelusz z rondem podpiętem kwiatami.**



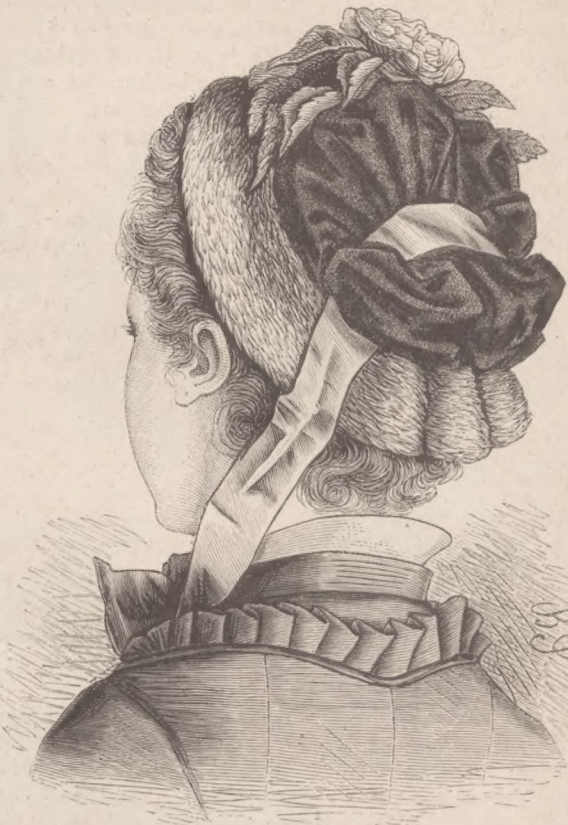
**N. 37. Kosz na roboty. Haft kolorowy na suknie. Patrz frendzle ryc. 32—33, deseń na Fig. 36—37.**



**N. 42. Ubranie z długim stanikiem bluzkowym dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 17 i 23 w N. 45.**

tką koronkową. Kapelusz biały filcowy ubrany „d'esprit” i koronką bretońską.

**N. 18—41. Sukienka princesse ze spódniczką przyszytą do pleców, dla dziewczynki lat 1—3. Krój N. IX Fig. 50—53.**



**N. 36. Kapelusz z główką czarną aksamitną, bufowaną a rondkiem naszytym jasnymi piórami.**

Wskazana forma zrobiona jest do sukienki pod szyję, podanej na ryc. 41, ale cienkie linijki oznaczają wycięcie do ryc. 18. Plecy zakończone puklami dopełnia spódniczka fałdowana, mająca 19 1/2 cent. długości a 60 szerokości. Model odrobiony z granatowego kaszmiru, przystrojony był szlakami 7 cent. szerokiemi, kolorowo w maszynie haftowanemi na aksamicie niebieskim; wypustkami z atlasu i guziczkami z konchy perłowej, nabijanemi srebrem.

**N. 19 i ryc. 14 w N. 44 Tygodnika. Ubranie spacerowe z okryciem dolmanowem. Krój N. VIII Fig. 46—49a.**

Okrycie odrobione z piaskowego „mousse” ozdobione było dużemi szmuklerskimi guzikami i piękną frendzlą jedwabną ze sznelą. Zesta-



**N. 39. Plaszczyk dla dziewczynki lat 6—8. Plecy do ryc. 38.**

wienie pojedynczych części formy, wskazane jest na Fig. 36a—39a; szwy trzeba z lewej strony rozprasować i podszyc skośnemi listewkami z materyi. Kapelusz z orzechowego filcu, ubrany gazą takiegoż koloru i piórami.

(D. c. n.)

**N. 41. Sukienka princesse dla panienki lat 10—12. Plecy na ryc. 40.**